CENA 30 GR.

NARÓD i PAŃSTWO

TYGODNIK

ROK I. WARSZAWA, 17 MAJA 1936 R. NR. 15

Kazimierz Zakrzewski

Po dziesięciu latach

Daleko od nas odeszły dni Przewrotu Majowego. Jesteśmy o dziesięć lat starsi. Jesteśmy — jako państwo i ludzie — bogatsi o wiele doświadczeń, a zarazem ubożsi o wiele strat, o wiele przejść, o wiele rozczarowań. Od roku niema już w świecie żyjących Marszałka. Natomiast w coraz większych zastępach wchodzi na widownię życia publicznego młode pokolenie, to właśnie, które uformowało się w twardych nieraz warunkach ostatniego dziesięciolecia.

Czem był w dziejach Polski Przewrót majowy? M o m e n t e m, czy e p o k ą... Jeśli nawet momentem, to nader ważnym, choćby dlatego, że tak na przestrzeni tych dziejów polskich w y j ą t k o w y m. Rokosz, konfederacja... tak, to znamy dobrze. Ale rewolucja?... czy choćby tylko zamach stanu, ustanawiający rząd silny i trwały, który łamie wszystkie przeszkody i przetapia społeczeństwo w wielkim tyglu? Bo to musimy sobie dobrze uświadomić, że z tego tygla wyszliśmy w s z y s c y odmienieni.

*
* *

Myśl moja wraca do artykułu, poświęconego w „Przełomie" (rok VI, Nr. 21—22) p i ę c i o l e c i u „Przewrotu Majowego". „Inni mają swe rewolucje — pisałem — my mamy Przewrót... Mamy swe własne: t r o i s g l o r i e u s e s, kiedy na ulicach Warszawy zapanowała P i e r w s z a B r y g a d a, kiedy wojsko polskie, pchnięte na stolicę rozkazem swego Wodza potwierdziło raz jeszcze swe stare braterstwo z klasą robotniczą Warszawy... Są dni powszedniego chleba i dni burzy. Są dni handlu i są dni wypędzania handlarzy ze świątyni. Dni przestępstw i dni ekspiacyj. Przewrót majowy przyniósł ekspiację za śmierć Gabrjela Narutowicza i za koalicję lanckorońską. Za wiele, wiele mało zaszczytnych fragmentów życia politycznego Republiki polskiej"... „Przewrót majowy, to była r e w o l u c j a m o r a l n a, ale zarazem i akt inauguracyjny rewolucji ustrojowej w Polsce. Pchnął Polskę na drogę przebudowy"...

Tę wielką przebudowę głosili w r. 1926 w Polsce ludzie „N a p r a w y", przebudowę polityczną, społeczną i gospodarczą. Dokoła programu przebudowy gromadziły się szerokie kręgi społeczeństwa polskiego. Zaznaczył się gwałtowny odpływ wszystkich młodszych i żywszych obywateli z dawnych stronnictw politycznych, kurczowo trzymających się „status quo ante". Bo programowi przebudowy przeciwstawiał się gwałtownie szeroki o b ó z S e j m u, złożony z czynników liberalnie-demokratycznych i konserwatywnie-nacjonalistycznych, nieznana dotąd koalicja odcieni postępowych i reakcyjnych, endeckich. W jej wykładni Przewrót majowy miał walor tylko zamachu stanu, mającego na celu zmianę rządu, a jeszcze ściślej, jak twierdził Ignacy Daszyński, objęcie przez Marszałka Piłsudskiego pełnej dyspozycji nad wojskiem, czego nie mógł i nie chciał pozyskać w kompromisie z koalicją lanckorońską, skupioną dokoła Witosa. P o z o r n i e tylko w podobny sposób interpretował sam Marszałek Przewrót majowy, określając go jako „r e w o l u c j ę b e z r e w o l u c y j n y c h k o n s e k w e n c y j". Tych słów chwycili się przeciwnicy przebudowy, jak tonący brzytwy. Brak „r e w o l u c y j n y c h k o n s e k w e n c y j" miał jednak ściśle o g r a n i c z o n e znaczenie. Był to brak takich konsekwencyj Przewrotu, które pociągnąćby za sobą mogły i musiały rozstrój Państwa, znajdującego się dopiero w ósmym roku istnienia; był to zatem postulat najszybszego powrotu do normalnych warunków życia politycznego, wyznaczonych przez konstytucję marcową, — nawet z tym samym sejmem pod batutą p. Rataja.

A jednak i Marszałek w szeregu enuncjacyj, czy w r. 1926, czy jeszcze w r. 1930, wyraźnie nawoływał do wielkiego odnowienia życia polskiego, do zmian przedewszystkiem m o r a l n y c h, ale w parze z któremi musiałyby pójść zmiany materjalne, do „o d r o d z e n i a d u s z y" narodu; za swój obowiązek uważał tylko przygotowanie warunków, w których byłoby ono możliwe i niezbędne. Walka Marszałka z dawnemi partjami, to nie była walka z socjalizmem, ani z nacjonalizmem, ani też z programem Polski Ludowej, a nadewszystko nie była to walka z ideowością, z programowością... walka o społeczeństwo bezideowe i bezpostaciowe. Walka ta wypływała jedynie z tej przesłanki, że „odrodzenie duszy narodu" było uwarunkowane przez o s ł a b i e n i e dotychczasowych sił politycznych, związanych ze stanem rzeczy „przedmajowych".

Przewrót majowy, jak każdy wybitny moment dziejowy, miał też i swoją treść społeczną. Obalając gabinet Witosa, Piłsudski uprzedził w dojściu do władzy f a s z y z m endecki, który w tym czasie poraz pierwszy był już gotów do ustanowienia w Polsce płytkiej dyktatury, opartej o sfery gospodarcze i o reakcyjne części drobnego mieszczaństwa i „piastowego" włościaństwa. Ale treść społeczna roku 1926 miała także swój pozytywny sens. Tutaj znowu wracam do przytoczonego już artykułu, pisanego w pięciolecie Przewrotu: „W dniach Przewrotu majowego nie było wątpliwości, jaką jest Polska, która się tworzy i co w Polsce upada... Masy lu-

dowe były rewolucyjne i szły za Marszałkiem. Burżuazja w całości solidaryzowała się z formalnym porządkiem, nawet choćby był on tylko płaszczykiem dla pokrycia „nieprawości". W dniach majowych cała klasa pracująca była po stronie przewrotu, gotowa do czynnego poparcia podjętej przez Piłsudskiego sprawy. I cała burżuazja z wojskami generałów Malczewskiego, Rozwadowskiego i Zagórskiego".

Pęd wszystkich sił, dążących do przebudowy społecznej, do skupienia się na płaszczyźnie Przewrotu majowego, a nadewszystko pęd klasy robotniczej do solidaryzowania się z wojskiem, był tak żywy, że nawet przywódcy partji komunistycznej pod wpływem nastawienia mas nie mogli i nie umieli mu się przeciwstawić. Po niewczasie otrzymali zato porządny „wygawor" od kominternu. Ten epizod jest znamienny, jeśli chodzi o wyrażenie dynamiki Przewrotu ogarniającej zresztą z miesiąca na miesiąc całe społeczeństwo, bo i p. Roman Dmowski po namyśle postanowił zerwać z dawnemi szablonami działania i obwieścił założenie nowego, rzekomo wyzwolonego z doktryny partyjnej, „Obozu Wielkiej Polski".

Pozornie psuje nam obraz Przewrotu majowego Nieśwież. Ale tylko dlatego, że patrzymy na niezamierzone przez Marszałka, a realizowane przez sferę jego dyspozycyj dalsze linje konsekwencyj gościny Marszałka na zamku Radziwiłłów. Nieśwież to była odpowiedź na ostatnią stawkę narodowej demokracji pod postacią sabotażu rządów Przewrotu majowego przez sfery gospodarcze. Nieśwież, to była też próba wciągnięcia do rządów oświeconych sfer zachowawczych, które rząd Marszałka mógł wyzyskać na licznych odcinkach pracy państwowej. Nieśwież był zresztą możliwy i mógł być pożyteczny właśnie na tle dynamiki Przewrotu i ogólnej woli gruntownej przebudowy Państwa, jaka cechuje w r. 1926 sytuację wewnętrzną w Polsce. Nieśwież, to nie było oddawanie dźwigni kierowniczych do dyspozycji czynników konserwatywnych, sabotujących dzieło przebudowy.

Najsilniej wola przebudowy ujawniła się — nie bezpośrednio coprawda, tylko stopniowo — na odcinku ruchu robotniczego. Zjawili się tutaj nowi ludzie i nowe idee, idee i dzisiaj — po dziesięciu latach — przyszłościowe. Żaden rząd, chcący dokonać niezbędnych przemian strukturalnych w życiu gospodarczem, nie będzie się mógł oprzeć ani na sferze prywatnego kapitału, ani na biurokracji. Akcję budowy nowego aparatu gospodarczego silnej Polski można podjąć tylko w oparciu o klasę robotniczą. Dotychczasowe formacje organizacyjne klasy robotniczej nie mogły sprostać nowym zadaniom, wobec rozbicia związków zawodowych, na szereg odłamów, zawisłych od stronnictw. Stąd też odrazu wysuwał się program reorganizacji ruchu zawodowego, jego scalenia i uniezależnienia od środowisk partyjnych, a zatem ten program, którego wykonaniem od r. 1931 w szerokiej skali zajął się zwłaszcza Jędrzej Moraczewski.

Idee Przewrotu majowego, idee „wielkiej reformy", a zatem gruntownej przebudowy całego życia polskiego, zrodzone w r. 1926, skrystalizowane w kilku latach następnych, zostały potem — kiedy Marszałek w znacznym stopniu odszedł od polityki wewnętrznej do spraw wojska i dyplomacji — zarzucone w praktycznie realizowanym systemie rządowym. Dziś, po dziesięciu latach, idee te, silniej niż kiedykolwiek, domagają się realizacji.

Władysław Leszczyc

Wielkości, gdzie twoje imię?...

Parę tygodni temu jedno z pism niemieckich w objektywnej, bynajmniej nie napastliwej formie oświadczyło, że o ile w 1932 r. Polska mogła mieć pozory słuszności zaliczania się do rzędu mocarstw, w roku 1936 prawo tej słuszności straciła.

To pismo nie powiedziało nic tak dalece nowego. A jednak, może dla nielicznych, to określenie półurzędowego organu Trzeciej Rzeszy, możnaby porównać do wrażenia, jakie młody żołnierz odnosi, gdy usłyszy na wojnie pierwszy bzyk kuli koło ucha.

Idąc w pole wie, że może go spotkać śmierć. Rozumie to, myślał o tem, stwierdził, że może nie wrócić. Wszystko to jest w sferze jego świadomości umysłowej. Śmierci jednak nie wyczuwa. Dopiero pierwszy trup spotkany przy drodze, oderwana noga, ręka, lub najczęściej o parę milimetrów przebiegająca kula, daje mu wyczucie możliwości śmierci, zaczyna naprawdę odtąd żyć w tej atmosferze. Jeśli jest dobrym żołnierzem — walczy, zwycięża i przeważnie wraca.

Notatka pisma niemieckiego powinna być dla społeczeństwa polskiego rodzajem ostrzegawczego świstu kuli.

* * *

Objektywne warunki naszej polityki zagranicznej są złe, niezależnie od oceny wysiłków tego lub innego ministra spraw zagranicznych. Warunki te w wielkiej mierze dyktują nasze dane geograficzne, jak również i warunki subjektywne naszej teraźniejszości. Najistotniejszy wyraz naszej siły zewnętrznej—armja—pozostała znacznie w tyle poza armjami otaczających nas potencyj. Flota wojenna nasza narazie — to symbol. Przemysł nasz nie przystosował się do potrzeb wojny. Wieś nasza karleje fizycznie w nędzy. Miljon dzieci pozostaje bez szkoły. Znaczna część reszty kształci się w warunkach niezabezpieczających dostatecznie od analfabetyzmu. Nie jesteśmy państwem jednorodnem. Mamy wg. spisów urzędowych, 31,9 % obcych narodowości, z któremi dotychczas nie doszliśmy do porozumienia w płaszczyźnie asymilacji państwowej. O innej nie możemy mówić nawet. Ani problem niemiecki, ani ukraiński, ani żydowski, ani białoruski nie są załatwione. Stan materjalny proletarjatu wsi i miast komentarzy nie potrzebuje. Strzały w Krakowie, Częstochowie i Lwowie, to ilustracja.

Żyjemy w fazie powrotnego materjalizmu, jeśli już nie filozoficznego, to praktycznego i stąd płynie zjawisko natury moralnej: coraz szybsze odchodzenie mas społeczeństwa polskiego od zainteresowań sprawami Narodu i Państwa.

Człowiek rozgląda się i na całym firmamencie życie polskiego nie widzi dosłownie ani jednej jasnej smugi. Szuka gdzieś punktu oparcia, w jakichś żywych siłach, któreby zmieniły ten stan rzeczy. Dobrze jest, jeśli znajduje go w sobie: w zimnym mózgu na usługach gorącego serca, w silnych muskułach sprężonych do czynu. Szuka towarzyszów pracy i broni. Pragnie wokół siebie znaleźć grupę maleńką, którąby — wnosząc wielką, wszechogarniającą ideę — zdołała rozrastać się z błyskawiczną szybkością w tysiące i miljony, idące zwartym szeregiem, w tysiące i miljony rąk walczących i budujących, w tysiące i miljony serc bijących jednym akordem. Ale niema tych tysięcy, niema tych miljonów, niema zwartego ordynku, niema wspólnego rytmu pracy, bo niema wielkiej idei — jest pustka, a nasze życie codzienne przypomina nieraz wielkie zlewisko wód bez nurtu, z natury rzeczy aż nazbyt często zatrute gnilnemi fermentami.

Mieliśmy za sobą 150 lat niewoli. Z nieprzeoraną psychiką, psychiką niewolną, weszliśmy do domu wolności. Nie mogło być inaczej, bo tylko mniejszość o wolność tę walczyła. Był Człowiek, który sam przez Siebie mógł zastąpić ideę. Umarł, dokonawszy tego co było w Jego mocy. Otoczenie Jego, ani przy życiu, ani po śmierci, na wysokości zadania nie stanęło.

* * *

Mieliśmy do odrobienia niezmiernie dużo. Chodziło Polsce nietylko o postęp, ale

— biorąc pod uwagę naszą kolosalną przerwę w państwowem życiu historycznem — o przyśpieszenie tego postępu. Dziś sytuacja zmieniła się na gorsze. Po siedemnastu latach boimy się już nie o brak wzmożenia, przyśpieszenia postępu, ale o sam postęp — cofamy się.

Dzieje się zaś to w momencie, kiedy Europa trojaki przedstawia obraz. Są państwa, których granice rozsadza dynamika czynu: Włochy, Niemcy, w pewnej mierze Rosja. Są inne państwa, które — w różnej skali swej państwowej potęgi — bronią, mimo wszelkiego rodzaju kryzysów, dobrej i szczęśliwej teraźniejszości, dążą do stabilizacji, tego co jest. Wreszcie państwa, które nie mają potrzeby bronić tej stabilizacji, gdyż byłaby ona stabilizacją nędzy, a dynamiki nie mają, bo nie żyją ideą. — Polska należy do rzędu tych ostatnich.

Nie chodzi mi tu w tej chwili o ocenę wartości moralnej, a nawet o trwałość tej idei. Chodzi mi narazie o samą jej siłę, bez której niema nic. Chodzi o motor, który popędza, dźwiga, pracuje z szybkością niewidzianą, przeskakuje całe etapy — stwarza cuda ludzkiej energji, umysłu i serca.

Raz jeszcze podkreślam. Narazie zostawiam na boku pytanie, jakie te idee w państwach „dynamicznych" wnoszą wartości do skarbnicy ogólnoludzkiego dorobku cywilizacyjnego. Stwierdzam tylko, że gdzieindziej miljony ludzi działają, działają heroicznie, w imię tego w co wierzą; w imię raju socjalnego na ziemi, którego widzą się pionierami i zwiastunami dla całego globu; w imię panowania swego narodu, jako wybranego, nad światem poprzez całkowite zjednoczenie Niemiec i zniszczenie konsekwencyj przegranej wojny; w imię restytucji Imperjum Rzymskiego i zyskania dostępu do oceanu. Mają idee, które, jeśli nawet nie wytrzymają probieża historji, dają jednak tym narodom wielkość,... złą czy dobrą, ale w każdym razie nie na miarę naszej „mocarstwowości" krojoną.

Nie znaczy to bynajmniej, aby wobec tego stanu rzeczy zasiąść nad wypracowywaniem wypocin ideowych, lub puścić się w podróż komiwojażerską, w poszukiwaniu próbek idei.

Idea wypłynąć musi z ducha Narodu, z jego najgłębszej jaźni, z Jemu tylko właściwych, niewyjarzmionych dotąd sił i wartości.

Przez tyle lat powtarzaliśmy magiczne słowo „Państwo", jakgdyby słowo to tłumaczyło wszystko, jakgdyby pojęcie to było wartością samą w sobie. Tak nie jest. Państwo jest tylko organizacją bytu Narodu, przez który i dla którego wszystko w państwie się dzieje, organizacją konieczną, jedyną, ale tylko organizacją. Dla zachowania mocy swej organizacji Naród może, wrazie koniecznej potrzeby, podporządkować część swoich interesów dobru samej tej organizacji, ale tylko dlatego, że jest ona właśnie dla niego samego niezbędna, że bez niej jest jak płyn pozbawiony naczynia, nabiera tendencyj wsiąkania w kultury i rasy otaczające.

Utrzymanie państwa jest ideą tylko stabilizacyjną. Idea dynamiczna zaczyna się tam, gdzie Naród, zorganizowany w państwo, do czegoś dąży; nietylko utrzymuje się przy życiu, lecz spełnia misję, wypływającą z jego najgłębszych wartości.

Radykalizm społeczny w Polsce wyrósł na gruncie przemożnej tęsknoty do niepodległości politycznej, a wcześniej jeszcze w dążeniu nielicznych światłych umysłów do naprawy Rzeczypospolitej. Nasze zmagania o niepodległość, mimo coraz pogarszających się warunków politycznych, zyskiwały na wyrazistości, trwałości i rozszerzaniu w głąb Narodu podstaw irredenty. Podstawy te pogłębiały się w ideologji niepodległościowej w miarę pogłębiania nurtu socjalnego. Od katolickiej, wyznaniowej, szlacheckiej Konfederacji Barskiej doszliśmy do Pierwszej i Drugiej Brygady: uczniów, akademików, pracującej inteligencji, robotników i chłopów. Nie łudzimy się historycznym mirażem, że tylko masy pracujące dały nam Polskę Niepodległą. Pozostaje jednak faktem, że one coraz wyłączniej o Nią walczyły.

Na przystanku kolei dziejowej, którego nazwa brzmi „Niepodległość", wolno było wielu wysiąść dla uwzględnienia przedewszystkiem normalnych państwowych potrzeb stabilizacyjnych. Było to nawet konieczne. Pociąg jednak Narodu Polskiego winien biec dalej naprzód.

Los państwa polskiego nietylko z powodu tych reminiscencyj historyczno-moralnych, ale — co ważniejsza — z powodu realnej struktury ekonomicznej społeczeństwa polskiego, musi związać się najściślej i zidentyfikować z losem warstwy stuprocentowo polskiej — klasy pracującej.

Naród i klasa pracująca w rzeczywistości polskiej to niemal synonimy. Synonim ten winien być podmiotem państwa.

Stać winniśmy również na stanowisku konieczności promieniowania indywidualności narodowej, czyli rozwojowych wartości kulturalno-społecznych narodu polskiego, rozumiejąc to promieniowanie, jako wzbogacenie ogólnoludzkiego dorobku cywilizacyjnego naszemi, nam tylko swoistemi, pierwiastkami.

Odrzucić musimy, jako podstawę ideową struktury społecznej, prymat jednostki i jej osobistej korzyści. Odrzucić musimy materjalistyczną strukturę społeczno-kapitalistyczną i jej wyraz w ustroju państwa — mechanistyczną demokrację parlamentarną. Tem więcej jednak odrzucić musimy wszelkie jej namiastki, które w stosunku do demokracji parlamentarnej nie są postępem, ale uwstecznieniem.

Ideologję i program, na którego wyjaśnienie niema tu miejsca, budować musimy na podstawie, na dynamice moralności kolektywu, na interesie zorganizowanej i zdyscyplinowanej wewnętrznej zbiorowości. Za bryły naszej konstrukcji uznać musimy w szeregu wzrastającym: grupę zawodową, klasę, Naród, dążąc zresztą do społeczeństwa bezklasowego, do zorganizowanego społeczeństwa pracy, gdzie własność prywatna (mówimy o mieście) sprowadzona zostanie do ram własności użytkowej. W puste u wielu słowa „dobro państwa ponad wszystkiem", należy wlać treść. Dobro tego państwa wymaga zastąpienia ustroju kapitalistycznego przez zorganizowaną, planową gospodarkę społeczną, opartą o uspołecznione warsztaty pracy, prowadzone przez przedstawicieli pracy, spożywców, samorządów i rządu.

W tem leży interes Narodu i klasy pracującej. To zapewnić może związek mas z państwem. Dać mu może siłę dynamiczną, która wyzwoli dotąd utajone moce. Moce te, wciśnięci między Niemcy i Rosję, mieć musimy. Ciążą te państwa nad nami przewagą terytorjalną, liczbową, a ostatnio dynamiczną. Tej sile dynamicznej przeciwstawić musimy własną. Rzucone przez Niemcy, podczas wojny, dla celów hegemonji teutońskiej, hasło Europy środkowej, winno być przez nową Polskę podjęte, gwoli stworzenia swobodnego związku narodów od Bałtyku do Morza Adrjatyckiego i Czarnego.

Świta wszystkim nam w głowie, że przecież tam, w świecie pracy miast i wsi, leżą te wielkie złoża sił dynamicznych. Mamy poczucie potrzeby wielkiej idei państwowej. Ani jednego, ani drugiego nazwać wyraźnie nie chcemy. Napawa nas to lękiem. Wolimy wyłgać się frazesem „sprawiedliwość społeczna", „historyczna misja Polski", „dobro państwa", „mocarstwowość". Chcemy być imperjalistami bez możności realizacyjnych, łudząc się w zaciszu domowem i w dysputach akademickich naszemi możliwościami ekspansyjnemi. Mówimy o nacjonaliźmie, mówimy o dumie narodowej, a nie mamy usprawiedliwienia rzeczywistego prócz pobożnego życzenia. Straszy nas również, jakie to będzie przejście od tej jednej dzisiejszej Polski, do Polski Nowej, czy aby nie bardzo bolesne, czy aby nie zabardzo niedelikatne.

Trądem polskiego życia był ogólnik, komunał, słabość, bezczyn osłoniony nieodpowiedzialnym frazesem, misterną lub kołtuńską teorją, była rezygnacja, połowiczność, beztreściowość, podnoszona wielokrotnie do wyżyn idei.

Metodą działania — środki nasenne, odurzające, wprowadzające stan chorobliwego optymizmu lub megalomanji, a po przejściu zamroczenia, pijacki katzenjamer i poczucie bezradnej niższości.

Do mózgu pcha się znane pytanie: *„Wielkości, gdzie twoje imię?"*

Ten trąd trzeba usunąć, choćby środkami, na których użycie burzy się nasze serce, serce „osiwiałych i ołysiałych dzieci polskich, które sprawdzian dobroci i wyrozumiałości uznały za najwyższe kryterjum postępowania".

Metody trzeba zmienić, stawiając przed oczy tych, którzy na miano ludzi odpowiedzialnych zasługują, nagą prawdę rzeczywistości polskiej.

Przerażającej rzeczywistości?... Sam w tej chwili łapię się na tym swoistym dla nas określeniu. Bezzasadny optymizm, lub przerażenie, oto dwa krańcowe punkty naszej narodowej reakcji.

Prawdopodobnie geneza naszego nieuzasadnionego optymizmu lat ostatnich, z taką uporczywością bezskutecznie wtłaczanego w psychikę społeczeństwa, ma swe źródło w tem, że ogromu złych stron życia polskiego nie należy pokazywać, gdyż uzyska się miast reakcji czynu, reakcję przerażenia i szczerze polskie „wszystko już przepadło".

Stosuje się więc ze strony „rządców dusz polskich", środki łagodne, pociechę, „jest lepiej, będzie dobrze", by wykrzesać choć trochę społecznej energji, wiary, bez uświadomienia sobie faktu, że w naszym życiu wyraz „trochę", znaczy to samo co śmierć.

Z nakazu „wszystko albo nic", musimy wybrać tylko pierwszą alternatywę.

Jeśli jesteś przyjacielem pisma —

— staraj się zjednać mu prenumeratorów

Andrzej Moykowski

Zagadnienie młodzieży

Nie wszyscy ludzie t. zw. „obozu" Marszałka chcą jeszcze dziś zrozumieć starą prawdę, że często najbliższe pokolenia różnią się od siebie bardzo, że nieraz pokolenie synów niepodobne jest do pokolenia ojców. Daje to powód do wielu nieporozumień, przeważnie zbędnych, a przedewszystkiem bezpłodnych.

Starsze pokolenie bojowników o niepodległość narodu w pewnym okresie pochłonęła praca państwowa. Stało się to po maju 1926 r. Przełom majowy przyszedł nagle. Przyszedł nieprzygotowany w tym sensie, że nie poprzedziła go jakaś praca ideologiczno - programowa. Rzeczywistość polska w erze Witosów i Zdziechowskich stawała się tak nieznośna, że trzeba było przedewszystkiem radykalnem cięciem zmienić jej obraz. To się stało. Lecz na to, żeby raz na zawsze uniemożliwić powrót do przygnębiającego swym widokiem „wczoraj", trzeba było zaprząc wszystkie rozporządzalne siły do pracy w skomplikowanym aparacie państwowym. Pułkownik, zdradzający wiele talentów, zostawał nieoczekiwanie ministrem skarbu, oficerowie w stopniu majorów, kapitanów, czy poruczników zajmowali stanowiska, na których musieli się najpierw sami uczyć, co im czynić należy. Wierzchołki życia państwowego, kierownicze stanowiska w życiu gospodarczem, administracji, służbie zagranicznej objęli ludzie, którzy musieli stracić sporo czasu i energji, aby się do tych stanowisk „podciągnąć" i móc sprostać zadaniom na nich włożonym. Trzeba przyznać, po latach doświadczeń, że w dużym procencie zadania te dobrze spełnili. A spełnić je niezawsze było łatwo, jeśli się zważy, że wobec braku wyraźnego programu często pozostawieni byli samym sobie, własnej inwencji i zdolnościom.

Lecz rezultat tego procesu, który od maja 1926 r. obserwujemy wszyscy, był ten, że sami się ucząc, sami nabywając doświadczeń, nie umieli stać się wychowawcami innych. Kapitału ideowego sami mieli dosyć. Zdobyli go w latach ciężkich prac konspiracyjnych przed wojną, w bojówkach PPS, w związkach strzeleckich, drużynach strzeleckich, w legjonach, P. O. W., w niepodległościowych organizacjach akademickich, w służbie, jeśli nie bezpośredniej, to pośrednio bliskiej, pod rozkazami Marszałka. Uzbrojeni w ten kapitał zdobyli władzę. Chcieli ją zdobyć, chcieli ją mieć; mieli poczucie tego, że im się ona należy. Wprzągnięci w maszynę państwową ani się spostrzegli, gdy tuż za nimi wyrastać zaczęły pokolenia nowe, pokolenia ich następców.

Spostrzec może nawet się spostrzegli, lecz zaraz na wstępie popełnili błąd podstawowy. Wydawało im się bowiem, że kapitał ideowy, którym żyli i o którym byli przekonani, że wystarczy im na całe życie, jest tak wielki, iż niejako automatycznie promieniować będzie na nowe pokolenia, idące dopiero w życie. Wydawało im się, że wystarczy tym pokoleniom przekazać cząstkę tego kapitału, tej samej wiary w jutro narodu, w zwycięski trud wielkiego żywota Józefa Piłsudskiego, w ich zmagania o zdobycie i ufundowanie wywalczonej niepodległości, aby poszły one wielką, żywiołową falą za nimi. Zaabsorbowani codzienną pracą państwową nie dostrzegli także różnic narastających między nimi i nowemi pokoleniami młodzieży, różnic coraz większych, nieuniknionych. A gdy je wreszcie dostrzegli, nie umieli już sobie z niemi poradzić.

Siła atrakcyjna Wielkiej Postaci Marszałka była zbyt wielką, żeby wśród młodego pokolenia nie rosły kadry młodych „piłsudczyków". Tak się też działo. Lecz coraz to przychodziły tarcia. Przedział między „starymi" i „młodymi" stawał się coraz wyraźniejszy. Co pewien czas urywał się wspólny język rozmowy. Gdy kończyła się — nazwijmy to — „kombatanckość" wspólna starym i młodym, a zaczynały się kwestje realne, okazywało się, że ludzie się poprostu nie rozumieją.

Nowe pokolenia młodzieży, wchodzące w życie polskie już po wojnie, patrzyły na rzeczywistość polską zupełnie innemi oczami. Jeszcze dla generacji z lat 1918—1920, ba, nawet z kilku lat późniejszych, walka o wolność była czemś bliskiem i realnem... Te pokolenia pamiętały jeszcze wojnę z Rosją, plebiscyty, powstania śląskie — słowem cały ten okres, w którym z takim wysiłkiem, wśród grożących wciąż ze wszystkich stron niebezpieczeństw, stabilizowały się nasze granice i nasz byt niepodległy. Lecz nawet i one spoglądały na rzeczywistość polską już inaczej, niż pokolenie przedwojennych entuzjastów.

To też już przed rokiem 1926 szeregi następców tych, którzy naprawdę walczyli o byt niepodległy narodu, stale topniały. Sami dawni bojownicy niepodległości, spychani przez panoszące się partyjnictwo w cień życia publicznego, zajęci byli więcej walką obronną, niż ofenzywą, nie dbając zbytnio o młodzież. Wierzyli, że kiedy z obrony przejdą do ataku i zdobędą władzę, młodzież „jakoś się zrobi".

Okres ten wyzyskała endecja. Pozbawiona już w czasach przedwojennych szerszego dopływu sił młodych, montująca sobie te siły z trudem w czasie wojny, zarówno w kraju, jak zwłaszcza w ośrodkach emigracyjnych w Rosji, skorzystała skrzętnie z powstałej w obozie niepodległościowym luki. Wycofanie się Marszałka do Sulejówka okrzyknęła za swe zwycięstwo, za nadejście swej ery rządów w życiu odrodzonego państwa, o którego niepodległość nie walczyła. Nowym pokoleniom postanowiła narzucić prostolinijną, najprymitywniejszą, najłatwiej trafiającą do mózgów młodzieży ideologję własnego, zupełnie specyficznego, bardzo ciasnego i bardzo drobnomieszczańskiego nacjonalizmu. Zmobilizowanej w burszowsko - konspiracyjne kadry nowej fali młodzieży, zapełniającej uniwersytety i wyższe uczelnie polskie, kazała bić szyby żydom, głosować karnie i bezmyślnie na „bratniackich" zebraniach, zwalczać wszystko, co pochodzi od Piłsudskiego, jako „masońskie". Nie omieszkała przytem przybierać na siebie świętoszkowatej szaty wiernej córy kościoła katolickiego, aby pozyskać dla swych celów wpływy silnej w katolickiej Polsce organizacji kościelnej. Plan udał się wyśmienicie. Liczba młodzieży endeckiej rosła, zdobywając stopniowo wpływ na uczelniach.

Przełom majowy mógł być dla ówczesnego pokolenia młodzieży i pokoleń bezpośrednio po nim następujących olbrzymim wstrząsem.

Zjawienie się na widowni bojowników niepodległości narodu, ludzi czynu, a nie mądrych, lecz zasuszonych koncepcjonistów w rodzaju Dmowskiego, czy zgranej ekipy wodzów endeckich w rodzaju Trąmpczyńskiego, Seydy lub Strońskiego— wszystko ludzi, z których żaden w okresie walk o niepodległość i granice państwa ani przez chwilę nie trzymał karabinu w ręku, zjawienie się na widowni obywateli-żołnierzy, mogło otworzyć oczy licznym jednostkom, skupionym w smutnym dla państwa okresie 1923 — 26 przez starych menerów endecji w szeregach jej młodzieży. Bijąca od tych żołnierzy siła czynu, powrót przedewszystkiem na widownię życia publicznego Józefa Piłsudskiego, otwierał szerokie możliwości dla zespolenia bezmała całej młodzieży polskiej pod sztandarem Wodza Legjonów.

Marsz Marszałka na Warszawę, powrót czynnika kombatanckiego, wzmocnienie zdecydowane autorytetu władzy rządowej w państwie, walka z rozwielmożnionem partyjnictwem oraz korupcją rządów parlamentarnych, nawet aktualne na tle ówczesnej rzeczywistości polskiej hasło sanacji moralnej naszego życia — wszystko to były zjawiska, które z dnia na dzień, z godziny na godzinę odbierały wszelki walor realny gadaniom posiwiałych i podtatusiałych wodzów starego „obozu narodowego". I gdyby sile uderzenia majowego towarzyszył zaraz równie silny pęd do przemyślenia wszystkich konsekwencyj majowego przełomu, konsekwencyj ideologicznych i programowych, słowem do tego, co się stało wszędzie: w Sowietach, we Włoszech, czy ostatnio w Niemczech, szeregi młodzieży, która znalazła się zarówno w ugrupowaniach endeckich, jak we wszelakich innych ekspozyturach starych partyj, topniałyby w tempie zawrotnem. Tak się jednak nie stało. Ludzie, którzy po maju 1926 r. wzięli na siebie wyłączny, odpowiedzialny i zaszczytny trud reprezentowania „obozu Marszałka" wciągnięci zostali zbyt potężnie w tryby machiny państwowej, żeby mogli zdobyć się na syntezę programu czy ideologji nowego, narodowego obozu Marszałka. Jedyna planowa próba stworzenia takiej syntezy — Związek Naprawy Rzeczypospolitej — musiał walczyć przedewszystkiem z trudnościami stwarzanemi wewnątrz własnego obozu. A kiedy po paru latach władza w rękach „obozu" okrzepła — przyszedł moment znacznie niebezpieczniejszy: wyraźnego lekceważenia procesów społecznych wogóle, w tem i procesów, dokonywujących się wśród młodego pokolenia.

Tem się tłomaczy fakt, że silny, dziejowy wstrząs majowy, nie porobił zdawałoby się nieuniknionych szczerb w szeregach młodzieży endeckiej, młodzieży wrażliwej przecie równie, jak my wszyscy, na najdroższe nam hasła: miłości narodu, wiary w jego siłę i wielką, nieśmiertelną przyszłość! Zastraszona pierwszem uderzeniem starszyzna endecka, zorjentowawszy się w konstruktywno - ideologicznych brakach zwycięzców majowych, zabrała się po pewnym czasie znowu do roboty. Dmowski w swej rezydencji pod Poznaniem zaczął skrzykiwać swych ludzi i objął dowództwo nad Obozem Wielkiej

Polski. Ruch endecki, nie posiadający wybitniejszych jednostek, kwalifikujących je na „wodzów", przygarniający pożądliwie do swego łona każdego z generałów, który gotów byłby zapełnić im tę lukę, poczynając od Dowbora i Hallera, a kończąc na Sikorskim i innych, postanowił zorganizować swych zwolenników w wielkiej organizacji politycznej, w której autorytet kierowniczej góry decydowałby o wszystkiem. Rzucono hasła, mające moc emocjonalnego oddziaływania na młodzież.

Po drugiej stronie tymczasem w dalszym ciągu zbrakło konstruktywnego działania. Zamiast przerzucić pomiędzy obozem a młodzieżą silny pomost ideowego porozumienia, zaczęto szukać łącznika formalnego. Dążąc do wytworzenia typu młodzieży „posłusznej", żyjącej tylko kategorjami przeszłości, rozbito jednolitość organizacyjną Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej, powołując do życia nową organizację, „Legjon Młodych", której dano zarówno prawo reprezentowania wielkiej i szczytnej tradycji Legjonów, jak też i bezpośrednią pomoc, wzamian za przyjęcie ideowego dziedzictwa „obozu".

„Legjon Młodych" zabrał się żwawo do pracy, poprzysięgając sobie — i szczerze poprzysięgając — przechowywać w swych duszach gorejący stale święty znicz tradycji legjonów i ich twórcy i wodza Józefa Piłsudskiego. Lecz im bardziej rozszerzał się zasięg jego pracy, im więcej nowych, coraz młodszych generacyj do niego wchodziło, tem bardziej stawało, musiało stawać nawet przed tą „prorządową" organizacją pytanie: w imię czego walczymy?, czy mamy być tylko strażnikami świętego znicza legjonowej tradycji, czy też — wychowani w kulcie dla tej tradycji — mamy być pionierami nowych haseł, młodymi współtwórcami nowych dróg i nowych wskazań, w myśl których pragnęlibyśmy urządzać gmach naszego państwa?

Wartki, często błyskawicznie zmienny nurt powojennego życia otwierał szerokie pole do dumań i refleksji. Młodzież, któraby nie szła z tym nurtem, nie warta byłaby tego miana. W szeregach młodzieży „prorządowej" musiano myśleć, zastanawiać się i szukać odpowiedzi na palące pytania. Pytania te — rzecz prosta — nie dotyczyły przeszłości, zwłaszcza zaś obcych młodzieży dzisiejszej minionych wspomnień i sporów orjentacyjnych. Pytania te nie dotyczyły świętych dat ruchu niepodległościowego, czy walk legjonowych, gdyż były jej aż nadto dobrze znane. Szły w innym kierunku. Skierowane były w przyszłość. Młodzież „Legjonu", widząc swych zasłużonych senjorów przy pracy na odpowiedzialnych stanowiskach państwowych, zaczęła zadawać im pytania, w imię czego dzierżą władzę w swych rękach, czy tylko w imię tego, że w swojem i tej młodzieży zresztą przekonaniu, z tradycji i przeszłości są lepsi od innych, czy też noszą w sobie ideę nowej Polski, o którą gotowi są tak samo walczyć, jak dawniej walczyli o niepodległość. Czyż te dwudziesto, czy dwudziestokilkolatki nie mogły stawiać tego pytania? Czyż nie pamiętali ujemnej opinji Marszałka o przysłowiu „głową muru nie przebijesz", czyż nie uczono ich tego, że pokolenie ich senjorów, rozpoczynając walkę o niepodległość, musiało staczać buntowniczą walkę ze starszem społeczeństwem? Oni się nie buntowali, tylko chcieli wiedzieć. Pytali.

Lecz na pytania nie dostawali zazwyczaj żadnej odpowiedzi. Przedwcześnie „zrównoważeni wychowawcy" odpowiedzi zastępowali wezwaniami do karności. Były one o tyle zbędne, że młodzież ta chciała zawsze słuchać. Natomiast nie mogło być dla niej tajemnicą, że brak odpowiedzi na stawiane pytania pochodził poprostu stąd, że nikt z ludzi tak zw. „obozu", zwłaszcza z tej jego części, która w owym okresie rządziła państwem, nie zdobył się na żadną syntezę programu. Ta część obozu, pochłonięta pracą państwową przedewszystkiem, strzegła swej pozycji wobec innych kategoryj piłsudczyków. Idąc raczej na współpracę z elementami oportunistycznemi i karjerowiczowskiemi, które z przeszłością i tradycją legjonową nie miały nic wspólnego i zacierały jeszcze bardziej oblicze ideowe „obozu", nie była w stanie zdobyć się na taką syntezę. Z wyjątkiem działów pracy państwowej, nad któremi bezpośrednio czuwał sam Wielki Marszałek, pracowano fragmentami, a od zdolności indywidualnych kierowników tych fragmentarycznych odcinków zależało, jak praca szła i posuwała się naprzód. Na przeszkodzie wreszcie do wypracowania takiej syntezy stanęła koncepcja organizacyjna w postaci Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. Koncepcja ta w jej zrealizowaniu praktycznem stała się kulą u nogi wszelkich programowo-ideowych poczynań. Z bloku uczyniono zbiorowisko różnych najsprzeczniejszych tradycyj, najsprzeczniejszych tendencyj — politycznych, gospodarczych, społecznych, ustrojowych — temperamentów wreszcie, które łączyć miały, prócz wielkości imienia Marszałka, hasła „sanacji moralnej", „żołnierza-obywatela", czy „mocarstwowości"! Tymczasem każda z tendencyj, reprezentowanych w „obozie", działała odśrodkowo. W tych warunkach zasady musiały ustąpić taktyce szukania złotego środka — godzenia białego z czerwonem, Radziwiłła z Sanojcą, Hołyńskiego z Moraczewskim, Mackiewicza z Kamińskim, Wiślickiego z ks. Wójcickim. Utrwalanie się Bloku stało się najgroźniejszą zaporą w wypracowywaniu zasad, w wypracowywaniu przewodnich idei ruchu, który byłby naturalnem przedłużeniem obozu niepodległościowego. Żywiej czujące jednostki i całe grupy, które zdawały sobie jasno sprawę z groźnych konsekwencyj takiego stanu rzeczy, milczały. Każda próba głośnego myślenia była stemplowana mianem „opozycji", i co gorsza, opozycji nietyle w stosunku do rządzących „pułkowników" i im podległych, lecz w stosunku do Marszałka. Swobodna dyskusja na temat zasad ruchu była zgóry uniemożliwiona.

O zasady te zapytała młodzież. Nie wystarczało jej bowiem to, co może dla wielu piłsudczyków-czterdziestolatków wydawało się wystarczające do końca ich życia — ideowy kapitał przeszłości. Miała przecież świadomość tego, że idzie w przyszłość i chce wiedzieć, jak tę przyszłość wypadnie jej urządzać. Słyszała przytem, co się wokół Polski dzieje. Widziała, jak w różnych państwach dokonywały i dokonywują się procesy, którym towarzyszy wielki wysiłek myślowy. Wszędzie wokół Polski, tuż o miedzę od niej, widziała gorący, tętniący życiem puls poszukiwania nowych dróg. Czyż można się dziwić tej młodzieży, młodzieży, nieznającej niewoli, a nie chcącej, żeby Polska była „pawiem i papugą narodów", że się pytała, że się niecierpliwiła? Czyż można się wreszcie dziwić, że często z wyrzutem patrzyła na swych senjorów — dostojników państwowych, iż zasiadłszy na swych fotelach ministerjalnych i innych, nic jej w dani nie nieśli, prócz przeszłości chlubnej i pięknej oraz prócz oklepanego, niestety, słowa o żołnierzu - obywatelu, co karnie służy swej ojczyźnie i jej wodzowi?

Byli ludzie, którzy się temu dziwili, którzy z wysokości swych stanowisk przestali już rozumieć, że młodzież, podobnie jak całe społeczeństwo, nietylko może, lecz musi myśleć, musi dociekać, musi pytać. W tych warunkach przepaść pogłębiać się musiała. Co robić dziś, aby rozwartość tej przepaści zmniejszyć?

Tu nie wystarczą żadne deklamacje, żadne apele, żadne nawoływania. Utraconą łączność nawiązać można tylko w walce o wspólną sprawę. Trzeba mieć wspólne hasła, wspólne cele i wspólne drogi realizacji. Inaczej nie znajdzie się właściwego języka. Porozumienia nie można stworzyć wokoło pustki. Szczególnie porozumienia z młodzieżą.

NA MARGINESIE

„Młodzi" i stara endecja

„Im większa przestrzeń czasu dzieli nas od Wielkiej Wojny, im wyraziściej rysują się skutki jeszcze przez niektórych nazywane enigmatycznie „kryzysem" — tem jaśniejsze się staje, że rok 1914 będzie kiedyś datą ostrzej rozgraniczającą dwie epoki, niż uznany za datę graniczną między średniowieczem a t. zw. czasami nowożytnemi rok 1492 .

„Wojna 1914—1918 zadała gospodarce liberalno-kapitalistycznej cios śmiertelny. Ukazała nicość jej wszystkich kanonów. Dyktatura gospodarcza państwa w okrążonych ze wszystkich stron przez koalicję Niemczech była niemniejszym przewrotem w pojęciach, niż późniejsza rewolucja komunisty-rok 1492".

„Dla młodego pokolenia, nie pamiętającego czasów przedwojennych, nie zasugestjonowanego ich rzekomą świetnością, nie ogłupionego zasadami ekonomji klasycznej — sprawa jest odrazu jasna i oczywista. To pokolenie nie ma obciążeń. Ono widzi jak na dłoni cały absurd moralny, społeczny, polityczny i gospodarczy przeżytego ustroju kapitalistycznego. Kwestje sporne sprowadzać się mogą conajwyżej do wyczuwania tendencyj rozwojowych nowego ustroju. Czy ma to być poprostu — jak w Rosji Sowieckiej — upaństwowienie stworzonego przez wielki kapitalizm w epoce maszyny parowej ustroju koncentracji przemysłowej i rozbudowanie go dla wzmocnienia potęgi narodu — czy też przewrót ma iść głębiej, mieć na celu nie tylko dobro zbiorowości, ale i dobro jednostki, zaspokojenie ich potrzeb materjalnych narówni z duchowemi przez wykorzystanie dekoncentracyjnych możliwości, jakie niesie za sobą ujarzmienie energji elektrycznej, w zakresie zapewnienia każdemu prawa do twórczości. Jest to jednak, oczywiście, sprawa przyszłości, sprawa, której nie wolno prymityzować naiwnemi hasłami powrotu do średniowiecza, ani kopjowaniem genjalnych koncepcyj św. Tomasza z Akwinu, twórczych dla średniowiecza, niezastosowalnych w dzisiejszych warunkach życia".

„Odwoływanie się do średniowiecza, przeskakiwanie myślowe przez całą epokę ku czasom przedkapitalistycznym jest jeszcze jednym dowodem, że żyjemy w czasach przełomu; ferment antykapitalistyczny wspólny jest całemu młodemu pokoleniu Europy. Tu przebiega granica, granica Wielkiej Wojny pomiędzy starymi i młodymi".

Przytoczone wyżej zdania są to wyjątki z niewątpliwie bardzo ciekawego art. Stanisława Piaseckiego („W młodych oczach") w ostatnim n-rze pisma „Prosto z Mostu". Z większością twierdzeń autora można zgodzić się bez zastrzeżeń. Jedna tylko nasuwa się uwaga. Konflikt pomiędzy „młodymi" i „starymi" — tak sugestywnie odmalowany przez autora — to przedewszystkiem, jeśli chodzi o pokolenie „starych" — konflikt ze starą endecją, z jej całym mieszczańskim światopoglądem, z jej drobnemi hasłami nawrotu do dnia wczorajszego.

Widać, że nietylko t. zw. „sanacja" ma i mieć będzie kłopoty ze swoimi „młodymi".

Płytka myśl i złe obyczaje

Na marginesie ofensywy prasowej przeciwko t. zw. „naprawiaczom"

(B. S.) Nie będziemy zajmowali się głosami całej prasy. Przedewszystkiem nie będziemy zajmowali się głosami t. zw. „prasy opozycyjnej" w dawniejszem znaczeniu tego słowa. Krytyczny stosunek tej prasy do zagadnienia reorganizacji i regeneracji sił „obozu majowego" jest zrozumiały. A równocześnie sposób i poziom dyskusji ze strony tej części prasy jest niewątpliwie wyższy. Tutaj chcemy zaś mówić tylko o najwybitniejszych przejawach „płytkiej myśli i złych obyczajów". Niestety, szukać ich będziemy musieli przedewszystkiem w sposobie dyskutowania niektórych pism z pod niedawnego znaku t. zw. „sanacji moralnej".

Rzuciliśmy w społeczeństwo, przedewszystkiem zaś w szeregi dawnego „obozu Marszałka Piłsudskiego", kilka tez podstawowych, a więc: 1) konieczność szukania podstaw dla siły Państwa w zorganizowanem społeczeństwie, 2) konieczność oparcia każdej zorganizowanej pracy społecznej o jasność tez i dążeń programowych, 3) uznanie nadrzędności interesów Narodu i Państwa jako punktu wyjściowego każdego programu, 4) konieczność realizacji jasnego programu społeczno-gospodarczego, opartego o docenienie roli i interesów polskiego świata pracy.

Nad tezami temi mogła rozwinąć się dyskusja. Z natury rzeczy musiały one spotkać się z niechęcią czynnika konserwatywnego dawnego obozu. Zagadnienie sposobu realizacji tembardziej nasuwało trudności i mogło stanowić materjał do uzasadnionej różnicy zdań i poglądów.

Reakcja prasowa obozu dawnego Bloku Bezpartyjnego jest w ogromnej większości wypadków zupełnie inna. Nikt nie dyskutuje o tezach, o zasadach, o sposobach i możliwościach realizacyjnych. Natomiast znaczna część prasy rozpoczęła niezmiernie uproszczoną i ujednostajnioną w doborze argumentów kampanję. Podstawowemi punktami tej kampanji są następujące uproszczenia: 1) w całej sprawie chodzi o intrygę „naprawiaczy", 2) „naprawiaczom" chodzi skolei przedewszystkiem o „posady", 3) hasła, to fikcje, które się odpowiednio przemalowuje, zależnie od okoliczności i potrzeb.

Szczegółowa dyskusja z tego rodzaju polemistami byłaby nieuzasadnionym zbytkiem dobrej woli. Poprzestaniemy tutaj na kilku najogólniejszych uwagach:

1. „NAPRAWIACZE", „NAPRAWIACZE", NAPRAWIACZE"

Jest to jedna z prób pomniejszenia i zaciemnienia dzisiejszej sytuacji. Obliczona jest na wytworzenie pewnego płochliwego nastroju. Sprowadza się do ostrzegawczego sygnału: „Dzisiejsze nawoływania do stworzenia wielkiego i o jasność haseł opartego obozu nie są niczem nowem. Ta próba była już czyniona przed paru laty i wtedy się nie udała. Ludzie, trzymajcie się zdaleka, bo możecie się politycznie skompromitować". — Oto jest treść nieustannego odmieniania przez wszystkie przypadki słowa „naprawiacz", „naprawiacze", „naprawiaczy".

Jak się do tego rodzaju metody ustosunkować? — Pozycja Związku Naprawy Rzeczypospolitej w obozie majowym, to niewątpliwie jedna z tych pozycyj organizacyjnych, których się nikt z uczestników wstydzić i wypierać nie potrzebuje. W maju roku 1926 Związek Naprawy Rzeczypospolitej rzucił hasła: 1) zmiany ustroju, 2) silnej organizacji społeczeństwa, 3) jasności linji programowej. Hasła te — z perspektywy dzisiejszej — nie przynoszą wstydu Związkowi Naprawy, podobnie jak nie przynosi mu wstydu sposób dążenia do realizacji tych haseł, ani zachowanie ludzi, których pod swojemi sztandarami naówczas potrafił skupić.

Stąd też nie widzimy powodu, byśmy się mieli tradycji Związku Naprawy Rzeczypospolitej zapierać i o nią obrażać. Jednakże trzeba podkreślić, że są zasadnicze różnice pomiędzy dawną inicjatywą Związku Naprawy, a warunkami, w których powinien się tworzyć dzisiejszy obóz narodowo-państwowy.

Nie chodzi tutaj o dobór ludzi. Nie chodzi tutaj o to, że przy inicjatywie tworzenia tego nowego obozu stanęły szeregi nowych ludzi, którzy uprzednio stali poza wszelkiemi próbami organizacyjnemi Związku Naprawy Rzeczypospolitej, nie chodzi nawet o to, że zasięg nowego obozu — w momencie realizacji — powinien być znacznie szerszy, niżeli zasięg dawnego Związku Naprawy. Chodzi przedewszystkiem o jedną różnicę zasadniczą. Próba organizacyjna Związku Naprawy w roku 1926 była jedną z możliwych wówczas form działania, formą poszukiwania siły zbiorowej w społeczeństwie. Pozatem jednak była jeszcze i inna możliwość, ta, która zwyciężyła i której Związek Naprawy w żadnym momencie swej działalności przeciwstawić się nie chciał i nie mógł: oparcie Państwa o siłę, tkwiącą w Człowieku.

Dzisiaj sytuacja jest inna. Dzisiaj — jeśli się nie chce stanąć na gruncie tezy o konieczności szukania oparcia dla Państwa w zorganizowanem społeczeństwie — trzeba wysunąć tezę inną. Nie wystarczy jednak ułatwiać sobie zadania przez stwierdzenie, że to są tylko „naprawiackie" intrygi i pomijać rzecz w danej sprawie zasadniczą. Chyba, że się chce zasłonić sobie oczy na rzeczywistość polską i trwać w wygodnem zaślepieniu póty:

„aż jakiś piorun rozedrze zasłonę,
aż jaki wicher na nowo rozbudzi,
aż jakieś fale zatętnią czerwone..."

Lecz wówczas przebudzenie nie będzie przyjemne. Stąd też my tej metody doradzać społeczeństwu nie będziemy.

2. „POSADY, POSADY POSADY"...

Tam była przedewszystkiem płytkość myśli — tu już są złe obyczaje, więcej — tu już pewna domieszka znikczemnienia zasadniczego stosunku do spraw i rzeczy publicznych. O sprawach tych dyskutujemy z niesmakiem, a równocześnie musimy prosić o wybaczenie czytelnika, który z niesmakiem czytać będzie. Lecz cóż, kiedy w t. zw. obozie Marszałka Piłsudskiego, w dziesiątą rocznicę Przełomu Majowego, tak wielu jeszcze jest ludzi, którym tłumaczyć trzeba, że w życiu publicznem można mieć „honor ponad chęć zarobienia kilku groszy".

„Naprawiacze dorwali się do posad", „naprawiaczom chodzi o posady" — oto podlutki motyw, przewijający się widoczną nicią przez znaczną część polemik, wywołanych wzmożoną ostatnio inicjatywą polityczną tych, którzy stoją na gruncie konieczności szukania źródeł siły Państwa w zorganizowanem społeczeństwie.

Dyskusja niesłychanie niebezpieczna. Przy tego rodzaju rozumowaniu człowiek najbardziej dla państwa zasłużony mógłby być zawsze uznany za największego w państwie karjerowicza, gdyby w związku ze swoją pracą piastował odpowiednio wysokie stanowisko. Lecz nie będziemy tutaj dyskutować teoretycznie.

Panowie polemiści! Z panów nie wszyscy są ludźmi umysłowo nisko stojącymi. Mówimy w tej chwili do inteligentnych. Panowie powinni wiedzieć, jaki był zasób sił reprezentowanych przez dawnych „naprawiaczy" i jaki zakres udziału ich w obsadzaniu jakichkolwiek wpływowych i wygodnych stanowisk. Panowie stawiają zarzut karjerowiczostwa w stosunku do jedynej grupy obozu, która umiała walczyć, wyrzekać się wygód, mandatów i stanowisk, nie iść po linji „lecenia po posady" za cenę rezygnowania z poglądów. Czy Panowie nie wiedzą, że nawet w obecnym Sejmie, jeśli „naprawiacze" posiadają pewną liczbę mandatów, to przecież właśnie wśród tych tylko mandatów spotkamy takie, które zostały zdobyte wbrew życzeniom czynników miarodajnych. Czy Panom ten fakt nic nie mówi? — Czy istotnie jest to dowód wybierania dróg wiodących do posad i stanowisk? — Nie, Panowie, w odniesieniu do szermowania tym argumentem coś jest nie w porządku. Zawodzi albo inteligencja, albo dobra wola. Oczywiście, czasem mogą zawieść obie. W niektórych wypadkach tak nawet jest napewno.

3. FIKCYJNOŚĆ HASEŁ

Nie będziemy zatrzymywali się dłużej. W tym jednym wypadku podamy przykład konkretny, zresztą tylko jako przykład. „Jutro Pracy" w jednym z numerów ostatnich zarzuca rzekomym „naprawiaczom" nieszczerość w odniesieniu do wpro-

wadzenia „nieużywanego dotąd słowa" „narodowy" i stwierdza, że „w naszych sercach i umysłach szyld ten nie wzbudził entuzjazmu".

Wszelka dyskusja jest niemożliwa: ze ślepym nie można mówić o kolorach, z durniem — o rozumie. Nie braliśmy udziału w szkodliwej zabawie przeciwstawiania sobie przez szereg lat pojęć Państwa i Narodu, jak ci, którzy w ten sposób uzyskiwali złudzenie programowego stosunku do tych podstawowych i nierozdzielnych pojęć. Dzisiaj nie będziemy się licytowali z „Jutrem Pracy" i innemi organami, czy z dawnymi sekretarzami B. B. W. R. w szermowaniu hasłami nacjonalizmu. Nie jesteśmy neofici, ani nie mamy zamiaru ubiegać się o to, by nas — po odpowiedniej kwarantannie — endecja mogła pomieścić w swoich szeregach. I stąd nie będziemy z „Jutrem Pracy", ani z byłymi sekretarzami B. B. W. R. rozmawiać o Narodzie. Niech im się zdaje, że monopol na „nacjonalizm" w swych rękach potrafią utrzymać, podobnie jak tyle poprzednich „monopoli". To takie piękne i szlachetne i takie ideowe.

Czytelniku! Raz jeszcze prosimy daruj! Na próbę tego rodzaju dyskusji zbyt często wystawiać Cię nie będziemy. Jednakże czasem trzeba wziąć i kąpiel błotną. Szczególnie, jeśli się wie, że i w szaleństwie często jest nietylko metoda, ale i cel, który tak niedyskretnie odkrył przed 200 niemal laty złośliwy, lecz szczery paszkwilant Wolter: „Calomniez! calomniez! il y en restera toujours quelque chose!". Nie nasza wina, że dyskusja z nami prowadzona jest dotąd przedewszystkiem w tego rodzaju niskich regjonach.

Ze wspomnień o Józefie Piłsudskim

Stanisław Skibiński

Podczas ułańskiej rocznicy

„Naprzód psiekrwie, cesarz patrzy" — te historyczne słowa Kozietulskiego, któremi poderwał szwadron szwoleżerów do szarży na wąwozy Sommo - Sierra, są doskonałym przyczynkiem do psychologji żołnierza. Wskazują one jak potężnym bodźcem jest ambicja, jeśli ją żołnierz posiada. Cesarz był wodzem, szwoleżerowie nie zawahali się rzucić na kartę życia, aby uzyskać uznanie wodza. Ambicja żołnierza nie ogranicza się do spełnienia rozkazu, ambicja ta wymaga również uznania ze strony wodza. Te proste i niewyszukane słowa Kozietulskiego przypominają mi się, gdy myślę o Wodzu, który rok temu odszedł od nas, a którego Wielki Duch pozostał pośród nas nazawsze. Pamiętam dobrze dzień 2 sierpnia 1929 r., kiedy po raz ostatni słyszałem słowa Marszałka Józefa Piłsudskiego. Tego dnia Warszawa obchodziła uroczyście piętnastą rocznicę odrodzenia polskiej kawalerji, która była i dotąd nie przestała być bronią naszej najświetniejszej rycerskiej tradycji. Piętnaście lat minęło wówczas od momentu, kiedy wysłany z Krakowa patrol historycznej „siódemki" strzelców po spełnieniu zadania w powiecie Jędrzejowskim powrócił konno. Stało się to samorzutnie i dało początek tworzenia oddziału kawalerji. W ciągu dni kilkunastu powstał pluton, potem szwadron ułanów. W rok potem, 2 sierpnia 1915 r. po wzięciu Lublina dywizjon ułanów liczył już trzy szwadrony. Na jesieni 1915 r. po sformowaniu szwadronu czwartego z dywizjonu powstał 1-y Pułk Ułanów Legjonów Polskich. Po odmówieniu złożenia przysięgi Niemcom w lecie 1917 r. pułk poszedł za druty Szczypiorna i Benjaminowa, odrodził się jednak i sformował jeszcze przed 11 listopada 1918 r., dając ponadto początek Pułkom 7 i 11 Ułanów. W początkach 1919 r. rozkazem Wodza Naczelnego pułk przemianowany został na 1-y Pułk Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego. W dniu rocznicy piętnastolecia pułku na placu Marszałka Piłsudskiego w blasku sierpniowego słońca stanęły spieszone szwadrony szwoleżerów, w szyku rozwiniętym, frontem do grobu Nieznanego Żołnierza. W każdym z tych szwadronów na prawym skrzydle zebrali się w dawnych plutonach ułani starego pułku. Przed frontem każdego szwadronu jego dawny dowódca jeszcze z przed czasu Szczypiorny i Benjaminowa i jego dowódca obecny. Na prawem skrzydle sztandar 1-go Pułku Szwoleżerów J. P. i orkiestra, na lewem skrzydle oficerowie rezerwy pułku.

Po raporcie, złożeniu wieńca na grobie Nieznanego Żołnierza, apelu poległych, mszy polowej i krótkiem żołnierskiem przemówieniu ks. kapelana szwoleżerów, zabrzmiały dźwięki fanfary. Nadjeżdża Komendant — Szef Marszałek Józef Piłsudski. Orkiestra gra hymn narodowy. Marszałek przechodzi przed frontem szwadronów w maciejówce i w siwym mundurze, przepasanym czarno - błękitną wstęgą. Przeszedł koło nas blisko, bliżej aniżeli o krok i patrzał w oczy. Gdy Marszałek stanął na przygotowanej trybunie, rozpoczęła się defilada. Orkiestra gra I-ą brygadę. Linje szwadronów złamały się w czwórki kolumny. Idą przybijając krok ułani w różnych dziś barwach i cywilnych strojach, a wiodą za sobą szwoleżerów, którym przekazali swoje rycerskie dziedzictwo. Kiedy przeszły w defiladzie szwadrony, Marszałek Piłsudski rozpoczął swoim zwyczajem swobodną rozmowę z generałami i oficerami, którzy Go otaczali. Jeszcze w r. 1919 miałem możność niejednokrotnie Marszałka Piłsudskiego widzieć, ale nie pamiętam Go nigdy tak ożywionym, jak w czasie owej ułańskiej rocznicy. W pewnym momencie Marszałek Piłsudski zdjął czapkę i zaczął coś koło niej poprawiać. Po chwili, widocznem było, że sobie coś przypomniał, gdyż żywym ruchem zwrócił się do stojących obok oficerów i trzymając maciejówkę w ręku z uśmiechem począł mówić: „Gdy po zajęciu Kielc wszedłem do apartamentów opuszczonych przez rosyjskiego gubernatora zastałem w nich wielki nieład. W pokojach leżało wiele porozrzucanych rzeczy, a w jednym z nich pozostawione dwie nawpół spakowane walizy i kilkanaście damskich kapeluszy.

Skoro kobieta zdecydowała się pozostawić tyle kapeluszy, będących jednym z głównych akcesorjów w tualecie każdej damy, jasnem było, że wielki musiał być pośpiech, z jakim uciekał gubernator. Widząc to miałem dowód, że ułani dobrze wywiązali się ze swego zadania. Umiejętność zaskoczenia wroga jest właśnie cechą dobrego kawalerzysty".

W ten sposób incydent z czapką w piętnastą rocznicę odrodzenia naszej kawalerji przywołał w pamięci Marszałka Piłsudskiego pierwsze próby na polu kawaleryjskiej umiejętności, którą chyba we krwi swojej mieli pierwsi ułani. Słuchając słów Marszałka Piłsudskiego miałem wrażenie, że Wielki Wódz wspominając z humorem wejście do Kielc, które było tylko fragmentem w dobie formowania się pułku, pragnął dać wyraz temu, że już wówczas w pierwszych ułańskich poczynaniach widział zadatki tych żołnierskich ambicji, które złożyły się następnie i składają się nadal na dzieje pułku.

Z tych chyba ambicji bierze również początek żołnierskie przywiązanie, jakie do swego Wielkiego Szefa żywili ułani i szwoleżerowie.

Es

Zagadkowa postać

Wśród pamiętników współczesnych działaczy politycznych, książka Bogdana hr. Hutten-Czapskiego, p. t. „Sześćdziesiąt lat polityki i życia towarzyskiego", (wydana równocześnie w języku polskim i niemieckim) zasługuje na szczególną uwagę. Dzieło to pokaźnej grubości w dwóch grubych tomach, a przecież autorowi gadulstwa zarzucić nie można; raczej przeciwnie, czytelnik odbiera wrażenie, że autor napisał za mało, że niejedną ważną rzecz przemilczał. Nie chodzi tu o brak zwierzeń osobistych, których autor starannie unika, nawet wtedy, gdy ich związek z jego działalnością polityczną jest ścisły (przeżycia religijne). Pod tym względem kilka zdań świadczących o głębokiej miłości synowskiej do matki są jedynym godnym uwagi wyjątkiem. Ale i w dziedzinie życia publicznego Hutten-Czapski wykazuje nieraz małomówność godną uwagi. Oto w r. 1914, w pierwszych dniach wojny, autor otrzymuje od cesarza Wilhelma poufne zapewnienie o zamiarze odbudowania państwa polskiego i polecenie natychmiastowego sprowadzenia arcybiskupa Likowskiego (wówczas jeszcze tylko administratora archidjecezji gnieźnieńsko-poznańskiej). Autor spełnia to polecenie po przezwyciężeniu mnóstwa trudności, wynikających z rozgardjaszu pierwszych dni wojny); rozmawia z Likowskim najpierw w Poznaniu do późnej nocy (6 sierpnia) i potem w Berlinie, po audjencji biskupa u cesarza (8 sierpnia). O tych „nocnych rodaków rozmowach" warto byłoby cokolwiek przekazać dla potomności, lecz Hutten-Czapski zachowuje co do tego zupełne milczenie. Qui tacent domant, możnaby tu powiedzieć.

Sprawozdania o faktach (zresztą żywo napisane), zwęzłe i dosadne charakterystyki osób *), czasem krótkie i jakby mimochodem rzucone określenie poglądów politycznych autora, oto treść tych dwóch grubych tomów. Streszczenie ich w artykule jest niepodobieństwem, chciałoby się powiedzieć: czego ten człowiek nie widział i z czem się nie stykał! Widać w nim ogromną ciekawość ludzi i rzeczy w zakresie spraw publicznych. Trzy główne, jeśli tak można powiedzieć, obszary faktów, wśród których życie spędził, są to: Niemcy, Polska i Watykan. O tym ostatnim mówi stosunkowo niewiele i głównie na początku; godnem uwagi jest stanowisko jakie autor (urodzony w r. 1851) zdobywa w r. 1870 na dworze Piusa IX. Zainteresowanie sprawami Kościoła nie opuszcza Hutten-Czapskiego przez całe życie; niektóre ustępy zdają się wskazywać na głębokie w te sprawy wniknięcie.

Sprawom polskim autor poświęca większą część tomu drugiego, w której opisuje swą działalność w Warszawie podczas okupacji niemieckiej w latach 1915 — 1918. Ale tę działalność umożliwiało mu wybitne choć nader swoiste stanowisko, jakie zdobył wśród niemieckich sfer rządzących w ciągu 40 przeszło lat poprzedzających wojnę. Wśród Niemców spędził większą część swego życia, nic przeto dziwnego, że większą część swych wspomnień poświęcił sprawom niemieckim. Już jako dwudziestoparoletni młodzieniec dostaje się do grona osób bliskiego ówczesnej parze cesarskiej (Wilhelm I i Augusta). Ale pomimo rozgałęzionych stosunków w kołach najbardziej miarodajnych nie dochodzi do wysokich stanowisk; spełnia tylko często rozmaite misje polityczne i to nawet wówczas gdy jest oficerem w czynnej służbie. Należy do najbliższych współpracowników kanclerza, ks. Hohenlohe, ale nie sprawuje żadnego urzędu. Powołanie na członka pruskiej Izby Panów ułatwia mu działalność polityczną i otwiera nowe jej drogi bez porzucania dawnych; po ustąpieniu bliskiego mu osobiście ks. Hohenlohe, odgrywa Hutten-Czapski rolę półurzędowego czy nawet nieurzędowego pośrednika politycznego przy następnych kanclerzach (Bulow, Bethmann-Hollweg). Autor nie wyrzeka się jednak bynajmniej swej samodzielności politycznej i właśnie za rządów Bülowa przeciwdziała ze wszystkich sił wniesieniu a potem uchwaleniu projektu ustawy wywłaszczeniowej.

Nasuwa się pytanie czy i jaka idea przyświecała tej wieloletniej i wielostronnej działalności Polaka w służbie niemieckiej. Sam autor wyjaśnia na początku dzieła, iż, jego zdaniem, członkowie mniejszości narodowych mają bezwarunkowo obowiązek pracowania dla dobra państwa, do którego należą, przy zachowaniu wszakże odrębności narodowej. O zmianie przynależności państwowej niemieckiej na polską autor mówi raczej w tonie poddania się przeznaczeniu. Krytyka tego stanowiska jest oczywiście na tem miejscu zbyteczna, chodzi wszakże o to czy te zapatrywania charakteryzują trafnie i wyczerpująco autora. Hutten-Czapski jest zapewne typem liberalnego arystokraty o kosmopolitycznem wychowaniu, ale, ktokolwiek był, uważne czytanie jego wspomnień prowadzi do wniosku, że ten syn powstańca 1831 roku i wnuk (po matce) generała Księstwa Warszawskiego, wśród obcych nie zapomniał o Polsce; świadczą o tem liczne ustępy jego wspomnień. Ktoby zaś chciał widzieć w tem jakieś obłudne kaptowanie sobie opinji polskiej, ten niech weźmie pod uwagę inne ustępy, które brzmią jak wyzwanie rzucone opinji polskiej. W obszernej korespondencji, którą autor przytacza w swej książce (w wyjątkach i w całości) nie brak ustępów wyrażających *ściśle pruskie i niemieckie* stanowisko Hutten-Czapskiego, ale w jednem miejscu przeszedł on samego siebie. W liście do Bethmanna-Hollwega z dnia 6 listopada 1917 roku wyraża swe ubolewanie z powodu dymisji kanclerza „nietylko *jako Niemiec*, ale także jako człowiek" (Ihr Scheiden aus der obersten Stellung habe ich schwer empfunden, nicht nur als Deutscher, sondern auch als Mensch). Wyraźnie występuje jako Niemiec, chociaż zgodnie z głoszoną przez siebie teorją, powinien występować jako obywatel państwa pruskiego. I z tem wszystkiem, gdy na początku wojny dowiaduje się od cesarza Wilhelma, (który widocznie traktuje go przedewszystkiem jako Polaka) o zamiarze odbudowania samodzielnego państwa polskiego w związku z Niemcami, zostaje poruszony do głębi i widzi w tem spełnienie swych długoletnich nadziei. Wielką chwilą w jego życiu jest, gdy w dniu 5 listopada 1916 roku odczytuje zgromadzonym na Zamku w Warszawie przekład polski aktu 5 listopada.

Kimże więc naprawdę jest ten dziwny człowiek? Polakiem wynarodowionym tak, że trzeba go uważać za cudzoziemca, który nie zapomniał o swem polskiem pochodzeniu i wskutek tego jest życzliwie usposobiony dla Polski? Może jest to dziwoląg psychiczny, człowiek o dwóch ojczyznach, centaur polsko-niemiecki; natura ludzka jest wszak zdolna do najbardziej cudacznych wykolejeń. A może jest to jeszcze ktoś inny? Odpowiedzi na to dać nie można. W świetle swych wspomnień Bogdan Hutten-Czapski występuje jako postać zagadkowa. Zdaje się, że w młodości robił takie wrażenie wśród Niemców, skoro mogła powstać pogłoska, iż jest ukrytym księdzem, wysłanym przez Piusa IX w celu odprawiania mszy dla cesarzowej Augusty, która jakoby miała być ukrytą katoliczką. Zazwyczaj, gdy mówi się o kimś, że jest postacią zagadkową, to w tem określeniu, wbrew ścisłemu znaczeniu wyrazów, bywa zawarty ukryty domysł, że za zasłoną znajduje się coś ujemnego. Nazywam Hutten-Czapskiego postacią zagadkową, zgodnie z właściwem znaczeniem tych wyrazów, bez takiego domysłu.

Jeśli przewodnią ideą polityczną Hutten-Czapskiego było odbudowanie państwa polskiego przy pomocy Niemiec przez wykorzystanie antagonizmu rosyjsko-niemieckiego, to jednak nie można go uważać za przedstawiciela obozu aktywistów czasu wojny światowej, a w szczególności obozu t. zw. orjentacji pruskiej. *Był na służbie niemieckiej i niczego polskiego nie mógł reprezentować;* jeśli działał jako Polak, to jako Polak odosobniony. Gdy jednak chodzi o ocenę kierunku jego działalności, to oczywiście, w liniach przewodnich ten kierunek dzieli losy aktywizmu polskiego. Orjentacja t. zw. pruska i austrjacka jako przewidywania polityczne, okazały się błędne: państwo polskie zostało odbudowane zarówno wbrew Niemcom jak wbrew Rosji i Austrji. Ale te orjentacje, o czem zapomnieć nie należy, były jednak podczas wojny narzędziem pożytecznej pracy. Chodzi tu nietylko o pierwszy okres wojny, gdy te orjentacje umożliwiały istnienie legjonów, ani o akt 5 listopada, stawiający poraz pierwszy w czasie wojny światowej sprawę polską na terenie międzynarodowym. Nawet i w drugim okresie wojny, po wybuchu rewolucji rosyjskiej, musieli się znaleźć Polacy, zdecydowani na spożywanie gorzkiego chleba współpracy z okupantami, w celu tworzenia elementów państwowości polskiej. Oczywiście, ta polityka nie mogła już w tym okresie być jedynym, ani nawet głównym prądem naszej polityki zewnętrznej, i źle byłoby, gdyby takim prądem się stała. Ale łatwo sobie wyobrazić, jak ciężko zaważyłby na losach Polski zupełny brak aktywizmu w drugim okresie wojny; jak trudne byłoby nasze położenie bez żadnych absolutnie elementów uprzednio zorganizowanej państwowości, gdy już w pierwszym roku swego istnienia niepodległa Polska musiała prowadzić wojnę na wszystkie strony. Ci, którzy bezpośrednio przed uzyskaniem niepodległości zawierali kompromisy z okupantami w celu przygotowania organizacji państwowej, wykonali pracę niezbędną i tembardziej zasługującą na uznanie, że praca ta po odzyskaniu niepodległości, nie mogła liczyć na popularność.

Jednakże pomiędzy działalnością aktywistów polskich z czasu wojny a poglądami p. Hutten-Czapskiego nie można doszukiwać się ideowej zbieżności. Są to sposoby myślenia nietylko różne, lecz różne w sposób wysoce zasadniczy. Aktywiści polscy byli nietylko Polakami, lecz Polakami walczącymi o interesy przyszłego Państwa w sposób nieraz wysoce ostry i zdecydowany. Pan Hutten-Czapski, wbrew nawet własnej doktrynie, Polakiem nie był — był zagadkowym człowiekiem posiadającym państwo, lecz nieposiadającym ojczyzny.

*) Godnem uwagi jest, że autor rzadko i z trudnością zdobywa się na ujemne sądy o ludziach.

Adres Redakcji i Administracji

Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 6.09.70

DROGI I BEZDROŻA

Jadą masony

Od czasu do czasu publicyści endeccy dla zelektryzowania „zwartych", ale ospałych szeregów swoich stronników, aktualizują niebezpieczeństwo, jakie ojczyźnie naszej ma zagrażać ze strony masonerji. Jest to sposób niemal tak odwieczny i zgrzybiały, jak złodziejski kawał: „Łapaj złodzieja". Jeśli w ostatnich czasach kampanja przeciwmasońska stała się znowu żywsza, nie świadczy to pochlebnie o świeżości, ani prężności ideowej „odmłodzonego" obozu endeckiego.

Mamy obecnie w Polsce system prezydencjonalny i po śmierci Marszałka w ramach tego systemu zaczęła się logiczna „ewolucja na lewo", t. j. poprostu ku polityce gospodarczej ożywienia i ku demokratyzacji stosunków politycznych, ku wciąganiu szerokich mas — poprzez organizację społeczeństwa — do życia państwowego. Ten kurs na lewo od „góry", idący poprostu ku podstawom z jakich jedynie może wychodzić rozwój sił państwowych Polski, zbiega się ze wzmożeniem prężności i aktywności najszerzej pojętych środowisk demokratycznych w społeczeństwie polskiem, jedynie reprezentujących jego twórcze (państwowo-twórcze i kultralno-twórcze) siły i dążenia.

Rozumiemy dobrze zaniepokojenie endecji wobec takiego biegu wypadków, ponieważ jej politycy wyobrażali sobie najbliższą przyszłość całkiem inaczej, a mianowicie przyjmowali, że — równolegle z rozkładem wewnętrznym „sanacji", z rozbieganiem się „konjunkturalnych" jej zwolenników i z zaostrzaniem się bezideowych, personalnych i koteryjnych walk o władzę u góry — będzie szło nieprzerwane potęgowanie się wpływów obozu „narodowego", dysponującego młodzieżą i wciągającego w sferę swoich wpływów robotników i chłopów przez propagandę „rasizmu". A zatem obóz „narodowy" miał kroczyć prosto do władzy — choć mógł przytem w najbliższym czasie dopuścić do niej — jako etap przejściowy — jakieś rządy faszystowsko - sanacyjne z udziałem czynników konserwatywnych i „hitleryzujących", któreby mu utorowały drogę do władzy pełnej i niepodzielnej.

Gdy teraz ujawnia się całkiem wyraźnie, że droga do władzy nie układa się endecji tak prosto i łatwo, i że na tej drodze wyrastają nieprzewidziane a poważne przeszkody, endecja wyciąga ze swych bagaży rekwizyt „niebezpieczeństwa masońskiego". — Więc Kazimierz Marjan Morawski wydaje swe „Źródło upadku Polski", w którem z niezaprzeczalną dużą wiedzą i łachowością wywodzi masonerję polską od Karola Gustawa i Augusta II i stawia tezę o masonerji, jako sile, która zadecydowała i wykonała rozbiory Polski (pomimo obfitości swoich, nieraz rewelacyjnych materjałów, szanowny historyk nie zdołał przeprowadzić dowodu prawdy). Więc p. Giertych napisał ogromnie grubą książkę o nieszczęściach naszej biednej Ojczyzny („Tragizm losów Polski"), w której przedstawia działania masonerji i stojących poza nią żydów na bieg dziejów Polski w ciągu dwóch stuleci, 18-go i 19-go. Więc demaskuje też „wiosenne manewry brata Jakóba" i prasa codzienna. „Goniec Warszawski" przyjmuje np. że deklaracja, ogłaszająca stworzenie „młodej polskiej lewicy" z udziałem trzech kontrahentów i z przychylną wzmianką „Gazety Polskiej", została poprostu spowodowana przez zabiegi masońskie (syn prof. Michałowicza tam tkwi).

Oprócz tego nie brak i posunięć „w terenie". Z okazji wyboru rektora Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego grupa O. N. R. zorganizowała niesmaczną demonstrację, wymierzoną przeciwko nowowybranemu rektorowi prof. Antoniewiczowi i przeciwko prorektorowi prof. Czubalskiemu. Za kulisami tej imprezy wyjaśniono, że wymienieni profesorowie, znani pozatem ze swojej „wrogiej postawy wobec młodzieży" (t. j. wobec bojówek O. N. R.) są przywódcami „sławnej grupy trzydziestu profesorów — masonów i wolnomyślicieli", która uprawia bezbożnictwo i popiera metody działania, ustalone za rządów P. Jędrzejewicza.

„Awantura" na Uniwersytecie stanowi przykład wykorzystywania atutu masońskiego w obecnych rozgrywkach politycznych obozu „narodowego". Aranżerzy tego rodzaju posunięć wiedzą o tem, że nieufność do masonerji obejmuje bardzo szerokie sfery społeczeństwa — ponad wszelkiemi możliwemi „linjami podziału". — starają się zatem zdyskredytować zgóry przyszłe rządy demokratyczne — obojętne w jakim zespole personalnym — przez naklejenie im marki masońskiej. Trudno! Skoro endecy zdawna ustalili, że powstania narodowe i próby niepodległościowe były dziełem „masońskiej intrygi", tedy musimy się z tem pogodzić, iż rządy nawiązujące w zmienionych warunkach do tradycyj rewolucyjno - państwowych i rewolucyjno - niepodległościowych, będą dla nich prostą kontynuacją tej samej „masońskiej intrygi". Nie możemy też od endeckich publicystów żądać aby lojalnie stwierdzili, że masonerja w Polsce stanowi czynnik słaby i o nader ograniczonej sferze wpływów i że wpływy jej kończą się tam, gdzie zaczynają się istotnie masowe ruchy demokratyczno-społeczne.

Interludjum żydowskie

Tutaj jeszcze jedna uwaga. „Kurs na lewo" jest dyskredytowany nietylko jako kierunek, wyznaczony przez intrygę masońską, ale też i jako kurs, odpowiadający nadziejom żydowskim. Ot, odezwał się organ sjonistycznej burżuazji żydowskiej, „Nasz Przegląd", wyrywając się z poglądem, że najodpowiedniejszy w dzisiejszych warunkach byłby rząd „lewicy sanacyjnej". Najodpowiedniejszy... dla żydów, czy dla Polaków? Tego sjonistyczny publicysta jakoś nie mógł, czy nie chciał sprecyzować. Dopieroż to gratka dla wszelkiej prasy endeckiej! — „Żydzi zabiegają o dojście do władzy „lewicy sanacyjnej"!

Argument ma swoją wagę dla wszelkiego kołtuństwa polskiego, niezupełnie jeszcze zelektryzowanego przez „rewelacje" o wiosennych „manewrach" masonerji. I znowuż „lojalni" dziennikarze endeccy nie starają się dociec, czy dla burżuazji żydowskiej rządy „lewicy sanacyjnej" nie byłyby poprostu mniejszem złem wobec prób konsolidowania reakcji polskiej i „bezpośrednich" akcyj O. N. R-u. Burżuazja żydowska znajduje się obecnie w dosyć kłopotliwej sytuacji. Niemożliwa jest u nas bowiem taka płaszczyzna programowa, któraby jedynie jej odpowiadała — płaszczyzna reakcyjnej, ściślej lewjatańskiej, polityki gospodarczej w połączeniu z „postępowemi" tendencjami w dziedzinach pozagospodarczych, płaszczyzna prawego skrzydła francuskich „radicaux - socialistes". Dlatego burżuazja żydowska szuka wyjścia i bada możliwości: — pułkownicy, konserwatyści, „Naprawa", P. P. S.? — trudny, trudny wybór zła możliwie najmniejszego. W tej sytuacji najlepiej tradycyjnie wołać: „Niech żyją nasi!" — którzy? — „ci co zwyciężają!". A endecja oczywiście to podchwytuje.

„Ich manewry wiosenne"

Ustaliwszy sobie tak piękną płaszczyznę taktyczną, a mianowicie zgóry określiwszy najbliższy etap sytuacji wewnętrznej w Polsce, jako etap wpływów żydowsko - masońskich, endecja — zwłaszcza poprzez swój „rewolucyjny" odłam, O. N. R. — podejmuje zarazem próby działań masońskich.

Z pierwszą taką próbą mieliśmy do czynienia 3 maja, kiedy O. N. R. usiłował wystawić własne pochody na ulicach miast polskich (odpowiedź na 1-go maja). W Warszawie, gdzie kadra bojowa składa się z kilkuset studentów, do których usiłowano doczepić t. zw. „robotników", w Łodzi nawet, uważanej przez O. N. R. za swoją najpotężniejszą fortecę, pochody O. N. R. wypadły jednak nader mizernie. Jeszcze bardziej zdeskredytowała się endecja na Śląsku, gdzie w dniu potężnej manifestacji wszystkich sił polskich patrjotycznego ludu przed Naczelnym Wodzem, zarazem wstydliwie przemknęło się kilkuset „narodowców" przed starym masonem p. Stanisławem Strońskim. Tylko we Lwowie, gdzie czynniki urzędowe nie od dzisiaj montują „wspólny front" kombatancko - endecki (przeciwko „niebezpieczeństwu komunistycznemu", t. j. przeciwko organizacjom robotniczym) endecja kroczyła w oficjalnej defiladzie, nadając jej potrosze swój stempelek partyjny.

Te manewry się nie udały. Udawała się przez jakiś czas akcja terrorystyczna O.N.R., na Politechnice Warszawskiej, czy na peryferjach Wielkiej Warszawy, no ale i to także się zmieniło, bo dzisiaj głosi się, że „bojówki żydowsko-komunistyczne" zabierają się do bicia korporantów. Udać się może pielgrzymka młodzieży akademickiej na Jasną Górą, bo w pobożnem społeczeństwie polskiem najłatwiej jeszcze przychodzi endecji naklejenie swego partyjnego stempelka na manifestacjach kościelnych.

Wszystko razem nie świadczy o wielkiej tężyźnie i potędze polskiego nacjonal - anarchizmu i nie rokuje mu powodzenia w „rewolucyjnej" walce o władzę. Stawka na O. N. R., na poruszenie mas ludowych, mobilizowanych przez agitację antysemicką, najoczywiściej zawodzi.

Dlatego dla endecji coraz bardziej staje się aktualna druga stawka: dojść do władzy poprzez etap rządów sanacyjno - konserwatywnych i poprzez stworzenie szerokiej koalicji „narodowej" od Witosa, przez gen. Sikorskiego, do gen. Hallera, któraby narzuciła systemowi prezydencjonalnemu zmianę obecnego kierunku. Może w najbliższym czasie będziemy mogli szczegółowiej przedstawić naszym czytelnikom ten „grand dessein".

NOSTROMO.

NOTATNIK ZAGRANICZNY

PODBÓJ ABISYNJI rozproszył wreszcie nadzieje na znalezienie takiego kompromisu między mocarstwami, któryby ocalił pozory autorytetu Ligi Narodów i umożliwił honorowy odwrót Anglji z imprezy sankcyjnej. Podbój ten jeszcze może się przeciągnąć, ale obwołując króla Wiktora Emanuela III cesarzem Etjopów, Mussolini przekreślił wszelkie możliwości kompromisowej likwidacji wojny. Obejmując „jednostronną" decyzją suwerenność nad całą Abisynją, Włochy zerwały układ angielsko-francusko-włoski z r. 1906, dzielący państwo Menelika na strefy wpływów tych trzech mocarstw. Dyplomacja włoska wyjaśnia, że Anglja i Francja same wyrzekły się tego układu w momencie konferencji paryskiej.

Wojnę abisyńską przegrała — Anglja, której mieszczańskie rządy nie zdobyły się na ryzyko zagrodzenia drogi Mussoliniemu w stosownym momencie i która — jak się teraz okazuje — postawiła na fałszywą kartę, licząc na odporność i determinację monarchy z Addis-Abeby. Proceduralne spory w Genewie, kto teraz ma reprezentować Abisynję na forum międzynarodowem... p. Wolde - Marjam, czy baron Aloisi, stanowią miarę poniżenia Anglji i zupełnego ośmieszenia instytucji genewskiej.

LEON BLUM obejmuje rządy we Francji w momencie zupełnego załamania się polityki deflacyjnej i bardzo dla Francji niedogodnej sytuacji międzynarodowej. Tembardziej więc zasługuje na uwagę umiar i rozsądek, przebijający przez expose wygłoszone przez przyszłego szefa rządu na posiedzeniu rady naczelnej partji so-

cjalistycznej. Nawet prasa burżuazyjna określa to expose, jako enuncjację „prawdziwego męża stanu". Wbrew więc zapowiedziom przeciwników „Frontu ludowego" można przypuszczać, że autorytet Francji nie zmaleje po ostatnich zmianach politycznych, a raczej wzrośnie.

P. Blum pierwszy kierownik francuskiej partji socjalistycznej, dochodzący do władzy i nota bene pierwszy żyd na posterunku szefa rządu Trzeciej Republiki (o ile fatalny stan sił fizycznych nie skłoni go do oddania steru w ręce któregoś z młodszych towarzyszy partyjnych) ma już zapewnione ścisłe współdziałanie radykałów, oraz poparcie 73 deputowanych komunistycznych. Ponieważ jednak odpowiedzialność za rządy Trzeciej Republiki przechodzi obecnie — na jakiś czas przynajmniej — w ręce klasy robotniczej, stronnictwo Bluma chciałoby się nią podzielić z innemi odłamami ruchu robotniczego i czyni jeszcze wysiłki, zmierzające do wciągnięcia do rządu komunistów i C.G.T. Ze strony pewnych czynników „ludowo-frontowych" pojawił się nawet projekt oddania steru rządów p. Jouhaux, sekretarzowi generalnemu C. G. T., jako najwłaściwszemu reprezentantowi całości zorganizowanych robotników francuskich. P. Jouhaux jednak ani nie chce stanąć na czele rządu, ani do niego wchodzić, zasłaniając się doktryną syndykalistyczną, która wyłącza kumulowanie funkcyj „politycznych" z funkcjami w ruchu zawodowym. Co do komunistów, to są oni — mimo wszelkich zaprzeczeń — skrępowani instrukcjami z Moskwy i ta okoliczność może zahamować rozwój ruchu komunistycznego, który — co należy podkreślić osiąga sukcesy we Francji jako ruch radykalno-patrjotyczny.

PRZYMIERZE POLSKO - FRANCUSKIE może wytrzymać nawet próbę „Frontu ludowego". Do takiego wniosku skłania się oświadczenie leadera partji komunistycznej, deputowanego Thoreza, który stanął na gruncie przymierza.

To znamienne oświadczenie podajemy w streszczeniu „Temps'a". „Zapytany na temat stosunku do Polski sekretarz generalny partji komunistycznej (Thorez) odparł, że i on wołał: niech żyje Polska, że Francuzi zawsze kochali i popierali Polskę; stwierdził, że niepodległość tego kraju stanowi olbrzymią gwarancję pokoju (constitue un gage de paix énorme) i że należy Polskę zbliżyć do grupy narodów pokojowych".

Oświadczenie nosi charakter tego rodzaju, jak gdyby komuniści francuscy świeżo dopiero spostrzegli fakt niepodległości Polski. W każdym bądź razie lepiej późno niż wcale. Daje to pewne szanse, że ostatecznie p. Thorez dowie się kiedyś i tego, że Polska zawsze właśnie należała do „grupy narodów pokojowych", choć może w mniej deklamacyjny sposób, niż ten, do którego przywykła lewica francuska.

Zastępca.

ZAGADNIENIA UBEZPIECZENIOWE

Przegląd Ubezpieczeń Społecznych Nr. 3—4 (marzec — kwiecień 1936 r.)

Obszerny, podwójny zeszyt żywo i fachowo prowadzonego miesięcznika, poświęconego tak żywotnym i stanowiącym niezmiernie ważny ośrodek zainteresowania szerokiej opinji publicznej sprawom ubezpieczeń społecznych, zawiera szereg artykułów o wysokim poziomie naukowym i publicystycznym.

Dwa artykuły wybitnych znawców problematów ubezpieczeniowych pp. Stanisława Sasorskiego i Ludwika Landau'a zajmują w tym zeszycie dominujące miejsce. Obydwaj autorzy, każdy z innego punktu widzenia, zajmują się kwestją wpływu ubezpieczeń społecznych, na dochód społeczny, którego podział pomiędzy poszczególne warstwy społeczeństwa pod nazwą osławionego bochenka chleba płk. Matuszewskiego pozostanie na długo jeszcze w niewdzięcznej pamięci potomnych, jako swoisty cud nakarmienia rzesz.

Rozpatrując „Współczesne problemy ubezpieczeń społecznych", p. Sasorski słusznie wychodzi z założenia, że „ubezpieczenia społeczne stanowią jeden ze środków, służących do zwiększenia zdolności konsumpcyjnej liczniejszych rzesz obywateli i jeden z instrumentów polityki populacyjnej". Autor zaznacza, że na ubezpieczenia społeczne, jako, na jedną z form wyrównywania daleko idących różnic w udziale w dochodzie społecznym, skierowane były w ostatnich dwuch latach silne ataki, zmierzające do podważenia ich podstaw" — czyli, że przy krajaniu tego „bochenka chleba" sporą część już odkrojono. — Mówi o tem p. Sasorski w formie bardzo delikatnej: „W nieustabilizowanych warunkach gospodarczych, wobec braku równowagi czynników społecznych w Państwie, wobec pomieszania pojęć interesów indywidualnych gospodarstw z pojęciem potrzeb całego gospodarstwa społecznego, tendencja do anarchizowania stosunków gospodarczo - społecznych i podważania gospodarki publicznej, w tem również ubezpieczeń społecznych, nie może zniknąć". W ostatnich miesiącach widoczna jest pewna zmiana: „znacznie osłabły ataki", „w obu ciałach parlamentarnych ubezpieczenia społeczne są doceniane i oceniane należycie" a „rząd przyjął słuszne stanowisko, że ubezpieczenia społeczne nie mogą być przedmiotem permanentnych wstrząsów i ryzykownych eksperymentów".

Rozpatrując następnie oddziaływanie ubezpieczeń społecznych na przesunięcia w dochodzie społecznym, mianowicie w spożyciu i w kapitalizacji, autor konkluduje, że „istota gospodarcza krótkoterminowych ubezpieczeń społecznych polega na przesuwaniu części wynagrodzeń od jednych pracowników, których potrzeby, zaspakajane przez ubezpieczenia społeczne, nie występują w danym okresie czasu — na pracowników, wymagających pomocy" i że pogląd o „wypompowanych z życia gospodarczego sumach" przez ubezpieczenia społeczne „jest z gruntu fałszywy", gdyż „ubezpieczenia nie lokują swoich rezerw poza granicami polskiego organizmu gospodarczego".

Mówiąc o celach ubezpieczeń społecznych i wskazując na zniszczenie, jakie powoduje w stosunkach zdrowotnych, rodzinnych i gospodarczych stwierdzany przez Ministra Opieki Społecznej p. Jaszczołta fakt wzrostu zatrudnienia kobiet i młodocianych na niekorzyść mężczyzn (przy braku poprawy na rynku pracy) p. Sasorski określa te cele jako: „współdziałanie w zakresie regulowania rynku pracy, zadania w zakresie podnoszenia stanu zdrowotnego, zmniejszania śmiertelności" itd. Przy omawianiu problemów organizacyjnych i personalnych p. Sasorski wyraża pogląd, że wskazane jest zlikwidowanie rządów komisarycznych i przywrócenie samorządu ubezpieczeniom społecznym.

P. Landau, rozpatruje ewentualność zmniejszenia zakresu działalności ubezpieczeń społecznych—co jak wiadomo, jest dążeniem pewnych sfer i dochodzi do wniosku, że ani w wypadku, gdyby całkowita obniżka składki ubezpieczeniowej poszła na korzyść pracowników, ani w wypadku, gdyby ta suma przypadła pracodawcom „obniżka składek na ubezpieczenia społeczne w obecnych warunkach życia gospodarczego w Polsce nie może doprowadzić do takich przesunięć w rozkładzie dochodu społecznego, któryby był punktem wyjścia społecznego... byłoby to wręcz szkodliwe" — jeśli przyjąć zasadę, „że w okresach takiej, jak dziś pauperyzacji szkodliwe jest jakiekolwiek zwiększenie dysproporcji pomiędzy zarobkującymi normalnie a niezarobkującymi".

Nadzwyczaj ciekawy i wyczerpująco opracowany jest artykuł inż. Mazurkiewicza o organizacji bezpieczeństwa pracy w związku z odszkodowaniami za nieszczęśliwe wypadki przy zatrudnieniu, analizujący niemiecki, kanadyjski i szwajcarski systemy ubezpieczenia wypadkowego.

Żywotne i aktualne wręcz zagadnienie „polityki lokacyjnej długoterminowych ubezpieczeń społecznych" omawia wyczerpująco, jasno i przejrzyście Dr. Stefan Czernecki. Artykuł ten, utrzymany w formie wykładu, stoi pod względem układu i bogactwa treści na bardzo wysokim poziomie; jest to narazie tylko część teoretyczna, rozpatrująca naczelne zasady polityki lokacyjnej ubezpieczeń społecznych.

Przyczyny i skutki nieszczęśliwych wypadków w przemyśle w latach 1931 do 1934 rozpatruje na podstawie bogatego materjału statystycznego Dr. Jan Wernicki, stwierdzając, że pogorszenie się sytuacji na rynku pracy i ciężkie położenie pracujących wywołuje „depresję psychiczną wśród mas pracujących i obniżenie odporności ogólnej", co właśnie wywiera tak znaczny wpływ na zwiększenie się liczby wypadków przy pracy.

Specjalne zagadnienia rozpatrują: p. M. Stolarow („Podstawy ubezpieczenia rodzin"), adw. Jerzy Wengierow („Ubezpieczenia Społeczne, jako jeden z czynników, oddziaływujących na politykę personalną zakładów pracy") i adw. Eug. Gissle („Amnestja a przestępstwa ubezpieczeniowe").

W dziale „materjały" dr. Erazm Wierzbicki omawia „Katastrofalny wzrost zachorowań na kiłę w wojew. zachodnich", p. Jan Zawadzki pisze o niemieckich ubezpieczeniach na wypadek choroby w r. 1934, przytaczając szereg ciekawych tablic statystycznych, z których wynika m. in., że ogólne wydatki niemieckich kas chorych przy liczbie około 20 miljonów ubezpieczonych wynosiły 1.314.374.000 marek, czyli 65,89 mrk na jednego ubezpieczonego rocznie, podczas gdy u nas przy przeciętnej 2.150.743 ubezpieczonych we wszystkich kasach chorych w r. 1933 wydano ogółem około zł. 233.815.000, czyli przeciętnie w przybliżeniu około 116 zł. na jednego ubezpieczonego, w czem na świadczenia około 79.50 zł.! W tymże dziale w kilku artykułach poruszane są zagadnienia praktyczne lub sprawozdawcze, jak np. „Próba zracjonalizowania wydatków na świadczenia lecznicze przez wprowadzenie budżetów lekarzy domowych" (dr. Szczeszura i dyr. Loteczko), „Lecznictwo inwalidów wojennych" (dr. med. T. Fenc), „Działalność Ubezpieczalni krajowej w Poznaniu za okres 1934 i 1935 r. (p. Jerzy Piotrowski), „Kontrola rachunkowości szpitalnej" (p. Jadwiga Szlagowska) i inne.

Bogata kronika krajowa i zagraniczna uzupełniają obfitą treść zeszytu. W kronice zasługuje na uwagę obszerny referat w sprawie pertraktacji polsko-francuskich o ubezpieczeniach społecznych, streszczający stan obecny ochrony Polaków we Francji.

E. W...ski.

NA MIGAWCE

Kwiateczek z posiewu nienawiści

Wiosna w Alejach Ujazdowskich. Godziny popołudniowe. Odpoczynek po pracy. Spacer. Wytchnienie na jednej z ławek, których dwa rzędy nie zmieszczą wszystkich, pragnących usiąść i spokojnie łykać „na zapas" świeże powietrze, odnawiając nieco gruntowniej obieg krwi w płucach i poprawiając humor. Dużo młodzieży. Dużo wiosennej nadziei na lepsze jutro.

Siedzą i kontemplują. Powolnie porusza się w takt lekkiego wiatru młode listowie kasztanów. Jest dobrze.

Przechodzi chłopiec w mundurku gimnazjalnym; marynareczka wytarta, podniszczona; karmazynowa tarcza na lewem ramieniu wskazuje klasę wyższą. O czem myśli ten młodzieniec, idący szybkim krokiem, jakby uciekając przed kimś? Czy może już zadaje sobie pytanie, co będzie z nim po skończeniu gimnazjum? Czy może już zatruwa radość wiosennych dni uświadamianiem sobie trudności dalszej drogi życiowej? A może śpieszy na korepetycję do jednego z pięknych domów, gdzie tak przyjemnie po dusznej atmosferze ciasnego mieszkanka rodziców, w którem w jednej izbie śpi ich pięcioro?...

Nagły tupot nóg wyrywa mnie z zamyślenia. Kilkunastu wyrostków podbiegło do ucznia. Brutalna scena zakrywającego twarz rękami bezbronnego chłopca, słaniającego się pod razami pięści bandy. Zduszony jęk.

Zrywam się z miejsca — fizycznie i psychicznie.

Co się stało?... Nie rozumiem. Za co a banda łobuzów, stosunkowo dobrze ubranych, znęca się nad gimnazjastą w postrzępionych spodniach i wytartej marynarce?

I dopiero syk: „poszedł precz, parchu!" — ostrym świstem uświadamia mnie, że to, co się tu dzieje, to napaść dziesięciu na jednego, to ordynarne, barbarzyńskie znęcanie się nad bezbronnym, to wynik trwającej od szeregu miesięcy wzmożonej propagandy nienawiści. Jeden energiczny ruch mój, jedno zdanie: precz, łobuzy! wystarczyło, ażeby ta ohydna scena skończyła się. Napastnicy pierzchli, pozostawiając zbitego ucznia z okrwawioną twarzą.

To jeden dopiero kwiateczek posiewu antysemickich brukowców — owoce jeszcze nie dojrzały. Czyż ręce, które tak ohydną broń czynią sobie z niewinnych rąk dorastającej młodzieży, dzieci prawie, zawahają się użyć jej na zrywanie owoców, na organizowanie pogromów żydowskich?

Nie zatruły nas trzydzieści lat temu pogromowe hasła czarnosecińców „istinno-rosyjskich", nie zaraziły pogromy kiszyniowskie, nie przyjęła się szczepionka wschodniego ducha carosławnego — dziś wyrastają kwiateczki „kulturalnego zachodu" — z pod znaku swastyki Trzeciej Rzeszy.

Czy w tym procesie leży rozwiązanie kwestji żydowskiej w Polsce? A przedewszystkiem czy w tym posiewie leży przyszłość polskiego ducha i polskiej kultury narodowej?

Odpowiedź chyba nie może być twierdząca...

Z TYGODNIA

W obronie honoru poległych

Najłatwiej walczyć z umarłymi. Najłatwiej, ale tego nikt nie robi, bo norma etyczna, niepozwalająca atakować zmarłych, jest ogólnie uznana i przez wszystkich szanowana. Nie uznaje jej tylko gen. Dowbor-Muśnicki, kosztem poległych bohatersko żołnierzy Marszałka próbując „tworzyć" swoją wielkość.

Książka gen. Dowbor-Muśnickiego, szkalująca pamięć Lisa-Kuli, pułk. Barthla de Weydenthal, gen. Juljana Stachiewicza, była już omawiana w „Narodzie i Państwie" przez Melchjora Wańkowicza. Wykwit szczytowej megalomanji, zaślepionej nienawiścią i brak szerszego spojrzenia na świat — sprawiły, że książka została odpowiednio oceniona przez społeczeństwo. Reakcja jego na ten bezprzykładny paszkwil była jednolita.

W obronie czci zmarłych i poległych żołnierzy wystąpił Minister Spraw Wojskowych. Najwyższe czynniki wojskowe nie mogły pominąć milczeniem kłamliwego oczerniania tych, którzy byli wzorem żołnierzy. Rozkaz min. Kasprzyckiego do oficerów daje zdecydowaną odprawę napaściom. Rozkaz mówi m. in.: „Pamięć czołowych żołnierzy odrodzonej armji polskiej została dotkliwie szarpnięta. Nietylko w imieniu wzburzonych serc towarzyszów broni, ale jako minister spraw wojskowych Rzeczypospolitej za wiedzą Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych — podnieść muszę głos protestu przeciw napaści na dobre imię tych, którzy legli w walce i pracy dla Ojczyzny.

Nietylko w imię zasług zmarłych kolegów głos podnoszę, ale i w obronie wartości moralnych, jakie dla młodych pokoleń wojska narodowego stanowi przykład ich ofiarnej pracy".

A dalej następuje charakterystyka trzech zmarłych żołnierzy, zaatakowanych przez gen. Dowbora-Muśnickiego. „Wszyscy trzej" — mówi rozkaz — „oddali młodo swe życie w walce o wolność i w pracy dla Ojczyzny. Stanęli w sercach obywateli i żołnierzy Polski na piedestale, który wzniósł ich wysoko ponad kłębowisko niskich namiętności, zakłócających spokój naszego kraju... Są przykładem świetlanym w pracy tworzącej ducha Nowej Polski. Nic nie może zachwiać naszej wiary w prawość ich pracy i ofiary. Niech ta wiara, nasza dla nich wdzięczność i uczucia żołnierskie będą puklerzem ich sławy i dobrego imienia".

Szara maciejówka symbolem pamięci

Wśród objawów serdecznej pamięci w pierwszą rocznicę śmierci Marszałka Piłsudskiego, szczególnem echem odbiła się uchwała rady gminnej w Powiewiórce, gminie, w której urodził się Wielki Zmarły.

Uchwalono, by dla pamięci Wielkiego Wodza Narodu w codziennem, szarem życiu, wszyscy mężczyźni tej gminy po wsze czasy nosili maciejówki, takie, jakie On nosił.

Drobny, z pozoru mało znaczący, wypadek. A przecież ma on swoją głęboką wymowę. Nie szumną akademją, jednorazową uroczystą manifestacją, ale codziennem życiem chcą mieszkańcy Powiewiórki czcić pamięć Marszałka. Przez lata całe, w pokoleniach następnych, codziennie, szara maciejówka przypominać będzie, że pamięć Budowniczego Polski jest zawsze tak samo żywa.

Wspólnym wysiłkiem tworzymy siłę armji

Obronność kraju jest tem centralnem zagadnieniem dnia dzisiejszego, wokół którego jednoczą się w ofiarnym wysiłku szerokie rzesze obywateli. Po ofiarowaniu armji 100 karabinów maszynowych przez robotników P. W. U. i 50.000 granatów ręcznych przez pracowników fabryki „Granat" — odbyła się w niedzielę nowa uroczystość, świadcząca o wysokiem wyrobieniu obywatelskiem i ofiarności korpusu podoficerskiego armji polskiej.

Na lotnisku mokotowskiem przekazano lotnictwu polskiemu dziesięć szkolnych samolotów typu RWD 8 oraz trzy maszyny turystyczne, ufundowane ze składek podoficerów armji lądowej, marynarki wojennej i K. O. P. Pozatem podoficerowie ufundowali 30 szybowców i ustanowili dwa stypendja dla studjujących na wydziale lotniczym Politechniki Warszawskiej dzieci podoficerów.

Piękny dar podoficerów stanowi przykład niezmierzonej ofiarności i gotowości do największych nawet wysiłków w imię Sprawy. Na to oddanie Sprawie zwrócił szczególną uwagę Naczelny Wódz w swojem przemówieniu do podoficerów. „Dzisiejsza uroczystość — mówił gen. Rydz-Śmigły — świadczy o umiejętności zdobycia się na ofiarność, na wysiłek, na rezygnację z pewnych własnych wygód i przyjemności dla celów ogólnych. Świadczy o ekspansji wewnętrznej, o moralnej prężności naszego społeczeństwa, a więc o naszej sile".

Czyn podoficerów polskich według słów gen. Rydza-Śmigłego — jest „ukoronowaniem pracy i wysiłku, który ma swą genezę w zasadniczej idei — w tej idei, że życie człowieka ma swój sens wtedy, kiedy się złączy z jakąś ogólną wielką sprawą i że tylko wtedy warta jest ona zachodu i trudu, gdy to złączenie się z wielką sprawą, to zaczepienie się o wielkie koło rozpędowe historji, czy kultury ludzkiej, ma miejsce".

To się nazywa rekord!

Święto 3 Maja starało się Stronnictwo Narodowe wykorzystać dla własnych, partyjnych manifestacyj. Łatwo bowiem później masy, biorące udział w patrjotycznych obchodach, zaliczyć na własny rachunek. Pisze się potem sążniste sprawozdania i zwielokrotnia „przybliżone" cyfry manifestujących członków partji.

„Kurjerowi Poznańskiemu" nie wystarczyły dotychczasowe fortele i wykombinował jeszcze jeden sposób na tworzenie legendy o wielkości Stronnictwa Narodowego. W numerze 210, z dnia 6 maja, b. r., zamieszczono interesującą fotografję, podpisaną szumnie: „Tysiączne rzesze uczestników imponującej akademji, urządzonej w święto 3 Maja przez Stronnictwo Narodowe w Helenowie pod Łodzią". Na pierwszy rzut oka fotografja rzeczywiście robi wrażenie: morze głów! Ale, gdy przyjrzeć się lepiej, ukazuje się cały bluff endeckiej propagandy. Otóż fotografja jest zręcznym fotomontażem dwóch różnych zdjęć. Dopiero przy dokładnem obejrzeniu można zauważyć, że osoby na pierwszym planie stoją twarzą do fotografa, a plan drugi jest odwrócony plecami, ale normalnie nie zwraca się uwagi na takie szczegóły. Zwłaszcza, że „sklejenie" jest prawie niewidoczne i złudzenie „tysięcznych tłumów" może być zupełne.

Cała prasa nieendecka zgodnie podaje, że Stronnictwo Narodowe na terenie Łodzi i okolic straciło niesłychanie na wpływach, a tegoroczny pochód Stronnictwa w dniu 3-go Maja był więcej, niż skromny. Ale to tylko słowa, podczas gdy prasa endecka rozporządza „dokumentem" w postaci fotografji!

Trzeba przyznać „Kurjerowi Poznańskiemu", że odkrył nowe drogi służby propagandowej.

NOTATNIK GOSPODARCZY

Tezauryzacja prywatna

(r. p.) W razie rozpoczęcia akcji inwestycyjnej wyłoni się siłą rzeczy konieczność mobilizacji kapitałów, przy której, rzecz oczywista nie można pominąć kapitałów, które w ostatnich miesiącach uległy tezauryzacji prywatnej i w ten sposób wycofały się czasowo z obiegu. O postępie tezauryzacji prywatnej mogą świadczyć wskaźnikowo cyfry sprawozdawcze niektórych instytucyj finansowych za miesiąc marzec. W komunalnych kasach oszczędności wkłady oszczędnościowe zmniejszyły się o 400.000 zł do kwoty 634 milj. zł. Zanotowany wzrost wkładów na rachunkach bieżących i czekowych, który wyniósł pół miljona złotych nie może stanowić dostatecznej przeciwwagi, gdyż wzrost wkładów tego typu wymaga zwiększonego pogotowia kasowego, zmniejszając w ten sposób wysokość kredytów stojących do dyspozycji. Spadek wkładów zanotowano również w 49 bankach akcyjnych i większych domach bankowych, w których na podstawie surowego bilansu na 31 marca wyniósł 14,7 milj. złotych.

Zjazd kupców polskich w Stanach Zjedn.

(r. p.) Zjazd delegatów zrzeszeń kupców polskich w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, który się odbył w kwietniu b. r., gromadząc stu kilkudziesięciu delegatów, winien przynieść poważne rezultaty w dziedzinie rozwoju obrotów towarowych pomiędzy Stanami, a Polską. Kupiectwo polskie w Stanach reprezentuje bowiem znaczną siłę, wyrażającą się np. w jednem Chicago w około 17.000 przedsiębiorstwach i kilku wielkich hurtowniach, z których Midwest Grocery Co notuje przeszło 2 i pół miljona dolarów obrotu. Importem z Polski zajmuje się też kilka placówek, jak Ampol, Centropol i Polpen. Przywiozły one łącznie w 1935 r. towarów za blisko 3 milj. dolarów, z czego sam Ampol za przeszło 2 milj. Saldo naszego bilansu handlowego ze Stanami jest w wysokiem stopniu ujemne. W 1928 roku import ze Stanów do Polski wynosił 467 milj. złotych, w 1933 — 110 milj. zł, w 1934 r. zaś wykazał lekki wzrost dochodząc do sumy 121 milj. zł. W tych samych latach wywóz do Stanów z Polski wynosił 32 milj. zł., 30 milj. zł. i 60 milj. zł. Warunki eksportu do Stanów są ciężkie, a to ze względu na specyficzną strukturę tamtejszego rynku i na wielką konkurencję towarów czeskich, niemieckich i japońskich. Przyczyny małego stosunkowo wywozu naszego do Stanów nie należy jednak szukać tylko w trudnościach związanych z rynkiem amerykańskim i konkurencją. Poważna część tych przyczyn leży bowiem w niewłaściwych metodach handlowych firm polskich, które nie chcą się dostosować do wymagań rynku amerykańskiego.

Odpływ złota z Banku Francuskiego

(r. p.) Odpływ złota z Francji i zmniejszenie pokrycia kruszcowego franka jest zjawiskiem, na które należy zwrócić uwagę i bacznie je obserwować. O rozmiarach ucieczki złota może świadczyć zmniejszenie się zapasu złota w Banku Francuskim od dnia 10 kwietnia do 17 kwietnia o blisko pół miljarda franków, ściśle o 483.607 tys. franków. Obecne kierownictwo Banku Francuskiego stosuje jako remedium na ucieczkę złota środki klasyczne, wyrażające się przedewszystkiem w zwyżce stopy dyskontowej. Brak wprawdzie narazie cyfr ilustrujących okres po podwyższeniu dyskonta, jednak wydaje się, iż środek ten niewiele pomógł. W związku ze zwycięstwem socjalistów i związanemi z niem możliwościami zmiany polityki finansowej Francji, nie można oczywiście bawić się w proroka. Wydaje się jednak, iż można twierdzić, że blok złoty zaczyna znikać, a w miejsce jego, jako siła zaczyna występować blok dolarowo-szterlingowy.

PRZEGLĄD PRASY

Współzależność

„Polska Zbrojna" rozważa zagadnienie przeludnienia Polski na tle problemu zbrojeń ekonomicznych i dochodzi do przekonania, że przeludnienie u nas jest pozorne:

„Niepodobna negować tego bolesnego faktu, że parę miljonów mieszkańców naszego kraju wegetuje w warunkach, które w żaden sposób nie dałyby się określić, jako warunki normalnej egzystencji ludzkiej... Że obecnie... nasz olbrzymi — po Rosji i Włoszech — największy w Europie przyrost naturalny stanowi czynnik niezmiernie ciężkich perturbacyj ekonomicznych".

Jest to jednak konsekwencja nie przeludnienia w ścisłem tego słowa znaczeniu, ale następstwo słabego uprzemysłowienia naszego kraju.

„Gdyby proces uprzemysłowienia Polski w ciągu 19 stulecia postępował z należytą intensywnością, to prawdopodobnie nie byłoby dziś w Polsce problemu przeludnienia wsi i nie byłoby pozornej nawet analogji z krajami, które, jak Niemcy, Japonja lub Włochy, przemysłwać muszą o znalezieniu nowych terenów ekspansji dla nadmiaru swej ludności".

Stąd wynika jasno, że

„przezwyciężenie trudności, z jakiemi ściera się Polska, leży nie w płaszczyźnie zamysłów w kierunku zwiększenia naszego terytorjum kosztem sąsiadów, ale w sferze dążeń do uprzemysłowienia i rozwoju gospodarczego kraju. W tem tkwi czynnik, niezmiennie wytyczający kierunek polityki zagranicznej naszego państwa; czynnik, decydujący o jego pokojowości i braku wszelkich dążeń do agresji nazewnątrz".

Współzależność polityki zagranicznej z gospodarką wewnątrz kraju daje również wskazania dla tej właśnie gospodarki. Stojąc bowiem twardo na stanowisku pokojowości, dbać należy o obronność kraju, a

„w dzisiejszych warunkach mechanizacji wojny — należyte do niej przygotowanie wymaga zorganizowania całości życia gospodarczego pod kątem widzenia obrony kraju, stworzenia warunków, w których istniejące siły wytwórcze okażą się instrumentem, odpowiadającym swemi rozmiarami i swą jakością tym potrzebom, jakie wiążą się z wojną nowoczesną".

Zarówno zatem polityka gospodarcza, jak i polityka zagraniczna stawiają naczelny postulat: uprzemysłowienie kraju — na planie pierwszym.

„Do rozwiązania tego problematu musimy wprząc wszystkie twórcze siły, utajone w naszem społeczeństwie, albowiem w ten sposób ziszczą się cele, do których zmierzają nasze konieczności gospodarcze i nasze potrzeby polityczne, albowiem w ten sposób zdobędziemy rękojmię zarówno trwałego pokoju, jak i dobrobytu naszej ludności".

Z.S.S.R. jako przykład

Tak się składa, że zbyt często musimy zajmować się wileńskiem „Słowem". Ale też jest to pismo, które raczy czytelnika potężnemi porcjami „ciekawych" w treści i ujęciu artykułów. O czem się tam nie pisze! I jakie rady sypią się z tego niewyczerpanego worka mądrości!

Ostatnio „Słowo" stawia Polsce przykład... Sowiety. Chodzi mu mianowicie o wprowadzenie w Polsce tych samych metod w walce z komunistami, jakich w Sowietach używa się wobec przeciwników systemu bolszewickiego.

Opierając się na wskazówkach „Cichego Donu" Szołochowa, autor artykułu wzywa do przestawienia walki z komunizmem na inne tory:

„Chciałbym, żeby ta walka była nieubłaganą, ponieważ uważam osobiście, że prowadzimy ją zbyt łagodnie".

„Słowo" chce walki bezwzględnej:

„My musimy komunizm wyniszczyć, wyplenić, wystrzelać. Żadnych względów, żadnego kompromisu! Nie wolno okazać słabego serca, ani żadnego względu, ani żadnego kompromisu".

A dalej:

„Nie jest to nauka, „oko za oko". Bóg nas rozgrzeszy. Prowadzimy wojnę z komunizmem, a religje dozwalają nam na wojnie zabijać".

Do sensacyjnych wystąpień „Słowa" przybyło jeszcze jedno, bijące — zdaje się — rekord... oryginalności w argumentacji.

Groźby i odpowiedź

Permanentne awantury na terenie wyższych uczelni i powtarzanie się bójek studenckich na ulicach — wywołało głos przestrogi ze strony socjalistów. „Robotnik" pisze:

„Od szeregu miesięcy studenci „narodowi" oraz rozmaici „korporanci" bili bezkarnie. Bili — zupełnie dosłownie — tych studentów i te studentki, których uważali za socjalistów, Żydów, czy komunistów.

...Ludzie nie chcą, by ich bito bezkarnie. I reagują. Nie żadni „komuniści" i nie żadni „Żydzi". Poprostu ci wszyscy akademicy, którzy nie należą do „bojówek narodowych". A robotnicy przyjdą istotnie, gdy trzeba będzie, bo codzienne czytanie opisów, jak to napada się „rycersko" w kilku na jednego budzi zrozumiałe uczucie powszechnego oburzenia.

Więc czas się zastanowić. Skończcie, panowie, z biciem kogokolwiekbądź, bo zacznie się dojrzewającą, bardzo poważna... odpowiedź".

„Warszawski Dziennik Narodowy" nazywa powyżej cytowany artykuł „Robotnika" — „dziwnym". Następnie zaś próbuje prostować. Twierdzi, że „zachodzi różnica między biciem się a biciem". Starcia zaś, o których pisze „Robotnik", nie miały charakteru jednostronnego bicia, lecz były starciami, w których obie strony występowały czynnie. Kto te „starcia" prowokował i kto atakował, a kto tylko bronił się — „Warszawski Dziennik Narodowy" nie pisze. Bo i po co, gdy codziennie wyśpiewuje hymny pochwalne na cześć bohaterskich bojów swoich wychowanków.

Z oburzeniem odrzuca też twierdzenie „Robotnika" o nierycerskości w postępowaniu studentów-narodowców. Podobno „nieprawdą jest, że bito studentki". Zrzucanie ze schodów, przewracanie, plucie i t. d. — nie jest biciem, a chociaż naoczni świadkowie mówią także o biciu, „W. D. N." o biciu nie wie i co mu zrobić? Na wypadek dostarczenia dowodów zabezpiecza się, pisząc:

„Jeżeli w starciach ostatnich paru dni temperament uniósł może zadaleko, to były to odosobnione wypadki, wywołane nastrojem tych — rozgrywających się na gorąco, a nie obmyślanych na zimno — starć".

O napadaniu w kilku na jednego — ani słowa.

Groźby odwetu ze strony akademików i robotników — nie są, zdaniem „W. D. N.", straszne. Podobno bowiem robotnik jest podstawą Obozu Narodowego.

Czy nie lekka przesada?

WŚRÓD KSIĄŻEK

Bezrobocie pracowników umysłowych

Instytut Oświaty Pracowniczej wydał broszurę p. *Henryka Rygiera* p. t. *„Próba walki z bezrobociem pracowników umysłowych"*.

„200.000 bezrobotnych pracowników umysłowych na 460.000 zatrudnionych we wszystkich dziedzinach gospodarstwa społecznego, wliczając w to służbę publiczno-państwową i samorządową — oto groźne ostrzeżenie dla naszej polityki socjalnej i gospodarczej" — słusznie pisze p. From, Prezes Instytutu Oświaty Pracowniczej, w przedmowie. „Coroczny dopływ przeszło 30.000 nowych sił ze szkół wyższych, średnich ogólnokształcących i średnich zawodowych dopełnia obrazu pełnej tragizmu sytuacji".

W pracy swej p. Henryk Rygier rozpatruje nowe metody walki z bezrobociem prac. umysłowych w Polsce, charakteryzuje odrębne cechy tego bezrobocia u nas, zapoznaje nas z działalnością Instytutu Oświaty Pracowniczej i wreszcie porusza sprawę przegrupowań w strukturze zatrudnienia, mianowicie przez „skierowanie przeważnej liczby t. zw. bezrobotych prac. umysłowych do pracy o charakterze bardziej fizycznym.

Instytut Oświaty Pracowniczej, powołany do życia przez Unję Związków Zaw. Prac. Um., ma do spełnienia trzy główne zadania: 1) systematyczne studja nad zagadnieniem bezrobocia, 2) przeszkalanie zawodowe prac. umysł., i 3) organizowanie nowych zatrudnień. Słusznie stwierdza p. Rygier, że „droga do zwiększenia konsumpcji usług (pracowników umysł.) prowadzi przedewszystkiem przez podniesienie poziomu kulturalnego Polski i jej szerokich rzesz ludności. Problemat bezrobocia prac. umysłowych wiąże się ściśle z problematem bezrobocia ogólnego i w przeważnej mierze bezrobocie to ulega wahaniom, którym podlega bezrobocie robotników; jednakże zmniejszenie bezrobocia prac. um. może być w pewnym stopniu osiągnięte innemi metodami, niż wśród robotników. Te własne odrębne metody próbuje stosować Instytut Oświaty Pracowniczej, którego prace w tym kierunku, niedawno rozpoczęte, nastawione zostały na „szukanie i znalezienie najwłaściwszych metod zarówno badań, jak i realnej działalności oraz na eksperymentowanie na niewielkich odcinkach poczynań praktycznych".

Autor stwierdza przytem, że te metody mogą złagodzić bezrobocie aż do możliwego maximum *w ramach współczesnego ustroju*, podkreślenie tego i zaznaczenie, że „wszędzie... odzywa się wołanie o wprowadzenie planowości w życie zbiorowe" jest wskazówką, że p. Rygier rozwiązania problematu bezrobocia w istniejącym ustroju gospodarczym nie widzi.

Ciekawie przeprowadzona jest przez p. Rygiera analiza struktury bezrobocia pracowników umysłowych w Polsce i jej geneza. W przejściu do grupy pracowników umysłowych znacznej liczby ludzie o niedostatecznem wykształceniu ogólnem i przygotowaniu zawodowem w okresie powojennym od 1918 r. począwszy, widzi p. Rygier główną przyczynę znacznie większego bezrobocia prac. um. u nas, niż gdzieindziej. Liczbę takich bezrobotnych podaje autor na około 60.000 osób. Zwalczanie wśród tej grupy bezrobocia musi być prowadzone inaczej, niż wśród innych grup, mianowicie pracowników o dostatecznych kwalifikacjach i młodzieży.

Odsyłając czytelnika do samej pracy p. Henryka Rygiera, pracy, która każdemu społecznikowi da wiele interesującego materjału, z przyjemnością zaznaczamy, że jest ona cennym wkładem do naszej ubogiej w dziedzinie bezrobocia literatury.

E. W-ski.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 609-70. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rach. 771 ,lub 2) — blankietem nadawczym P.K.O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10 — 11, środy godz. 17 — 18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10 — 14.

Wydawca: **Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp.** Sekretarz Redakcji i Redaktor odpowiedzialny: **Adam Andrzejewski**

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12, w dzierżawie Spółki Wydawniczej Czasopism, Sp. z o. o.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem